

Opłata pocztowa ulszczona ryczałtem

WIAS



TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok VI

Łódź, 10 lipca 1949 r.

Nr 28 (207)

W NUMERZE
między innymi:

- B. Chęciński — Komunikaty wierszowane,
J. M. Gisges — Żywa tradycja.
J. W. Mazurkiewicz — recenzja książki Engelsa, napisana w r. 1846.
A. Kamińska — W kręgu „Niepokoju”.
W. Leopoldowa — Pamiętnik czy lamus?
L. Budrecki — Metoda psychologiczna,
L. Bartelski — wiersz.
M. Margal — „Ulica Graniczna”.
K. Treniew — „Lubow Jarowa” (fragm. dramatu).
P. Czyżowa — Amatorski teatr robotniczy.
J. Huszcza — Humor i satyra wobec publiczności.
J. Wojechowski — Kartki z kalendarza.
L. Kolakowski — Obskurancj wobec nauki.

Stefan Ignar

OFENSYWA NA FRONCIE KULTURY *)



„Konieczna jest na ca. m. froncie kulturalnym — ofensywa w kierunku upowszechnienia i udostępnienia kultury dla całego narodu”.

KULTURA MAS PRACUJĄCYCH

Przemówienie Prezydenta Bieruta we Wrocławiu w listopadzie 1947 roku wzbudziło entuzjazm wśród wszystkich działaczy kulturalno - oświatowych, a szczególnie u działaczy chłopskich. My bowiem pracujemy na tym najbardziej zarośniętym i wyschniętym ogrozie, jaki istnieje dotąd na wsi jako haniebny spadek po niewoli pańszczyznianej i kapitalistycznej. Bezwrotnie minął okres, kiedy to niemal w pojedynkę wielu z nas prowadziło szarym, dźwigając na plecach książki i gazety do dalekich wsi i unikając starannie spotkania ze stróżami ciemnoty i wyzysku, z granatową policją. Stało się teraz jasne dla nas, że Państwo Ludowe po ogarnięciu planem życia gospodarczego stworzy plan likwidacji ciemnoty i zacofania kulturalnego.

Nadzieje nasze szybko się spełniają. W ciągu roku od wysunięcia hasła ofensywy na froncie kulturalno - oświatowym został opracowany szczegółowy plan akcji oraz powstała organizacja, która ma wykonać postawione zadania.

Pierwszą praktyczną decyzją było powołanie do życia Komitetu Upowszechnienia Książki, który w krótkim czasie wydał kilka milionów egzemplarzy najlepszych książek i rozprowadza je w cenie 100 zł. za tom oraz założył tysiące bibliotek gminnych i gromadzkich.

Drugim — zasadniczym krokiem — było powołanie w końcu ubiegłego roku Głównej Komisji do Spraw Kultury, która stanowi naczelny organ pracy kulturalno - oświatowej.

Równocześnie z obmyśleniem planu organizacyjnego i mobilizacją sił do ofensywy kulturalno - oświatowej idąc za wskazaniem Prezydenta Bieruta, działacze oświatowi i kulturalni poddali rewizji pokutujące dotąd fałszywe i elitarne poglądy na stosunek twórców do mas pracujących i na rolę zespołów amatorskich. Została także wykonana odkrywcza praca w dziedzinie właściwego rozumienia i oceny kultury ludowej. Praca w tej dziedzinie wiąże się ściśle z wyjaśnianiem istoty patriotyzmu mas pracujących Polski, który jest ściśle zespolony z międzynarodową solidarnością robotników i chłopów w walce przeciw wyzyskiwaczom i podżegaczom wojennym. Takie rozumienie patriotyzmu ugruntowało się ostatecznie w zdecydowanej walce narodów o pokój przeciwko rządowi imperialistycznym, przygotowującym nową wojnę.

Do zrozumienia wartości kultury ludowej przyczyniły się dwie wielkie imprezy: festi-

wał zespołów świetlicowych Związków Zawodowych zorganizowany w ubiegłym roku we Wrocławiu i tegoroczny festiwal muzyki ludowej, zorganizowany przez Polskie Radio, Ministerstwo Kultury i Związek Samopomocy Chłopskiej.

Po festiwalu muzyki ludowej ukazało się wiele artykułów napisanych przez czołowych działaczy kulturalno-oświatowych. Starano się tam wyciągnąć wnioski ogólne, jak organizacyjne, na które winniśmy zwrócić uwagę.

„Stwierdzenie wielkiej wartości sztuki ludowej jako niewyczerpanego ożywczego źródła sztuki i kultury narodowej należy dziś do „truizmów” czyli pewników.

„Bogata sztuka ludowa to dziś niezawodna broń przeciw kosmopolityzmowi. W folklorze polskim kompozytor znajdzie bliskie sobie narodowe motywy dla dalszej twórczości, plastyk tematyczne, świeżość i oryginalność kompozycji, śmiałość fantazji w układzie kolorów”.

(Jadwiga Siekierska „Kuznica” Nr 24 z dnia 14 czerwca).

W tym samym n-rze „Kuznicy” pisze jedna z inicjatorek festiwalu, Zofia Liśsa:

„Festiwal muzyki ludowej zaczął wielkie dzieło rozbicia nieufności, które — co tu mówić — zawsze jeszcze ciąży na wzajemnym stosunku wsi i miasta. Rozbicia kompleksu niższości wsi w stosunku do miasta i tego stosunku „poklepywania po ramieniu”, z jakim często miasto odnosiło się do kultury

wsi. Festiwal udowodnił ludziom wsi, że ich wartości kulturalne są wartościami całej Polski, i z tym uczuciem rozjeżdżali się uczestnicy festiwalu, z tym uczuciem wieś polska słuchała przez głośniki naszych oklasków. I uczucie to wyda swoje owoce”.

W nr 25 „Wsi” z dnia 19 czerwca br. ukazał się wstępny artykuł wiceministra Sokorskiego pt. „O właściwym stosunku do sztuki ludowej”, w którym autor przed postawieniem wniosków organizacyjnych stwierdza: „Sztuka ludowa i sztuka naszej rzeczywistości wiąże się z sobą w sile bezpośrednich doznań, w sile wyrazu sztuki głęboko narodowej i jednocześnie głęboko ludzkiej: będącej bezpośrednim wyrazem człowieczych trosk, radości, szczęścia, pracy, trudu, walki i triumfu zwycięstwa.

Zbieżność pieśni ludowych i pieśni masowych proletariatu to nie zbieżność formalna i nawet nie zbieżność tematyczna. To zbieżność sztuki tętniącej życiem dni naszych, uczuć naszych i walki naszej. To zbieżność dynamiki naszych czasów”.

„Na wiecznie żywe, nieskończenie piękne tło sztuki ludowej musimy rzucić twórczą myśl naszych czasów, wskazując kierunek i metodę rozwiązywania zagadnień.

I to są elementy naszej walki o przyszłe oblicze socjalistycznej kultury Polski Ludowej”.

Z przytoczonych, zgodnych z sobą, wniosków, określających wartość i rolę kultury ludowej można już zbudować fundament planu naszej pracy kulturalnej na wsi. Musiało upłynąć kilka lat od czasu, jak Jan Aleksander Król rozprawiał się na łamach „Wsi” z chłopomańskim wypaczeniem kultury ludowej, aby dojść do sedna sprawy i odnaleźć wartość samej kultury ludowej.

Powoli kształtuje się także kierunek krytyki i treści dzieł literackich po zdemaskowaniu schyłkowych upodobań i nalogów

wielu naszych pisarzy i krytyków — realizując one zasady, że treść do swych dzieł pisarzy winien czerpać z pełnego bohaterstwa w walce i budownictwie czynu mas robotniczych i chłopskich i że powinien tak pisać, aby książki jego były czytane przez ludzi pracy i rozumiane przez nich.

Jest jeszcze dotąd niestety wielu takich pisarzy, którzy politycznie deklarują się po stronie Polski Ludowej, lecz twórczość ich wskazuje na to, że nie widzą, ani nie odczuwają walki klasowej, ogradzając się płotem przesądów elitarnych. Dopływ pisarzy, którzy bezpośrednio wywodzą się od warsztatu pracy i z pola walki rewolucyjnej, jak Lucjan Rudnicki i inni, przyczyni się do rozwoju istotnej literatury robotniczo-chłopskiej, powiązanej z masami i służącej masom.

ORGANIZACJA I CZYNNIK NAJWAŻNIEJSZY...

Ostra krytyka J. A. Króla, jaką przeprowadził w stosunku do Kół Młodzieży Wiejskiej i Uniwersytetów Ludowych, jak również inspekcja świetlic robotniczych i festiwal świetlicowych zespołów Związków Zawodowych, wykazały, że praca kulturalno-oświatowa ograniczała się często tak na wsi jak i w mieście do koszlanych imprez widowiskowych i tańców. Natomiast działalność oświatowa, czyli samokształcenie oraz czytelnictwo książek i gazet w wielu świetlicach w ogóle nie miało miejsca. Taki stan pracy kulturalno-oświatowej był sprzeczny z samą jej nazwą, a pochodził z czasów kapitalistycznych, kiedy to dla wyzyskiwaczy, dla fabrykantów i dziedziców pożyteczne było, aby młodzież pracująca wyłudowała resztki swej energii w zabawie i tańcach lub w „odgrywaniu” bezmyślnych, albo wręcz reakcyjnych „sztuczek”. Przed wojną repertuarium KSM „Strzelca” czy Kół Młodzieży Wiejskiej nie bardzo się różniły. Najbardziej odbiegały od tego programy imprez kół „wiciowych”, które wprowadziły inscenizację pieśni ludowych, ale i tu nawet już w Polsce Ludowej można było spotkać przedstawiennia sztuk wręcz szkodliwych, skoro młodzież nie mogła znaleźć nic lepszego w repertuarze teatrów amatorskich.

Brak smaku i klasowego podejścia do repertuaru przedstawień wzięły się, rzecz jasna, z kompletnym zaniedbaniem pracy oświatowej oraz nastawieniem na niewybredną rozrywkę i łatwy zarobek organizacyjny.

Na polu pracy kulturalno-oświatowej istniał do końca 1948 r. stan bardzo smutny. Każda organizacja społeczna prowadziła pracę kulturalno-oświatową w swoim zakresie, nie troszcząc się o całość potrzeb chłopów i robotników. Praca ta była dublowana przez ministerstwa. Co gorsze, powstawał wręcz fałszywy obraz rzeczywistości kulturalno-oświatowej; dochodziło do wyłudania na ten sam cel pieniędzy z różnych źródeł. Wiele np. świetlic było zarejestrowanych jednocześnie w Ministerstwie Oświaty, w Ministerstwie Kultury, w ZSCh i w ZMP. Świetlice te ubiegały się o pieniądze ze wszystkich źródeł i wszędzie składały sprawozdania z tej samej pracy, często fikcyjnej bądź wyolbrzymionej. Urzędnicy z ministerstw i kuratoriów, jak również organizacje społeczne, chcąc się wykazać osiągnięciami — podawały chętnie zgłoszone wyniki jako własne. Podobnie robiło wiele uniwersytetów ludowych. Był to swego rodzaju dziki handel, połączony z zachwalaniem wątpliwego towaru i ze staroświeckim targowaniem się o subwencje. W praktyce dochodziło do tego, że organizacje kulturalno-oświatowe zgłaszały budżety kilkakrotnie większe, niż mogły wykonać, a władze państwowe skreślały 4/5 zgłoszonych pozycji, pokrywając 1/5 zapotrzebowania i obie strony były zadowolone.

W tym stanie trudno było wyłagać pieniądze na najbardziej celowe i uzasadnione potrzeby społecznymi prace kulturalno-oświatowe.

Na szczęście stan ten należy już do przeszłości. Z końcem 1948 r. w dziedzinie kulturalno-oświatowej rozpoczęła się działalność planowa.

*) Fragment referatu, wygłoszonego na Plenum Zarz. Gł. ZSCh. w dniu 21 VI 49 r. (Jadwiga Siekierska „Kuznica” Nr 24 z dnia 14 czerwca).

GEORGI DYMITROW

Albo służyć i przegrywać,
Cierpieć albo tryumfować,
Młotem lub kowadłem być.



Georgi Dymitrow

2 lipca zmarł wybitny działacz międzynarodowego ruchu robotniczego, przewodniczący Rady Ministrów Bułgarskiej Republiki Ludowej, Sekretarz Generalny Komitetu Centralnego Bułgarskiej Partii Komunistycznej, Georgi Dymitrow. W zmarłym światowy obóz demokracji i postępu stracił jednego ze swych najwybitniejszych działaczy.

„Urzędnik policji Heller cytował tu wiersz komunistyczny, zamieszczony w książce, która ukazała się w roku 1925, aby dowiedzieć, że w roku 1933 komuniści podpalili Reichstag. Pozwolę sobie również zacytować tu wiersz, ale wiersz największego niemieckiego poety Goethego:

Ucz się w porę mądrym być.
Na ogromnej szczęścia wadze
Rzadko szale tkwią w bezruchu;
Musisz wznieść się lub padać,
Musisz rządzić i zwyciężać.

(Z przemówienia na procesie o podpalenie Reichstagu).

D.M. 1949 02

Przy Prezydium Rady Ministrów powstała Główna Komisja do Spraw Kultury pod przewodnictwem premiera Cyrankiewicza, składająca się z przedstawicieli ministerstw Oświaty i Kultury oraz organizacji, prowadzących pracę kulturalno-oświatową, jak Związki Zawodowe, ZSCH, ZMP, ZNP i inne. Główna Komisja koordynuje wszystkie prace kulturalno-oświatowe pod względem treści, form i budżetu. Największą rolę w pracy kulturalno-oświatowej wyznaczyła Główna Komisja dwóm masowym organizacjom, a mianowicie Związkowi Zawodowemu i Związkowi Samopomocy Chłopskiej. Te dwie organizacje prowadzą całą pracę upowszechnienia kultury w masach robotniczych i chłopskich, przy jak najwyższym współudziale Związku Młodzieży Polskiej i Związku Nauczycielstwa Polskiego, pod fachową opieką resortowych ministerstw. Jako instytucja poradniowa i badawcza została stworzona z części TUR i TUL Instytut Oświatowy Dorosłych. Agendy pracy terenowej tych starych instytucji weszły do Centralnej Rady Związków Zawodowych bądź ZSCH.

Zgodnie z zasadami, podanymi we Wrocławiu przez Prezydenta Bieruta i rozpracowanymi w wielu artykułach, referatach i dyskusjach, praca kulturalno-oświatowa nie może rozwijać się w oderwaniu od zadań gospodarczych, produkcyjnych i od przebudowy ustroju rolnego. Musi ona z tego gruntu gospodarczego wyrastać i służyć jako narzędzie wzmagające rozwój produkcji oraz przygotowywać atmosferę przeobrażeń do wyższych form gospodarowania.

Tak, jak określili to wiceminister Sokorski, bezcenny dorobek kultury ludowej ma być

wykorzystany do tworzenia nowej kultury, kultury socjalistycznej. Dlatego musi ustać praktykowane dotąd obrzędowe nabożeństwo sztuki ludowej oderwane od czasu i od życia społecznego, oderwane od walki klasowej. Kultura ludowa nie może się już w naszych czasach rozwijać na bazie analfabetyzmu. Mogą ją rozwijać tylko ludzie piśmienni i czytający, w oparciu o współczesną naukę i technikę. Ludową pieśnią naszych czasów będzie kujawiak o traktorzyście, krakowiak o przodowniku w wyścigu pracy na wsi, mazurek o parobku, wyzwalającym się spod ucisku bogacza wiejskiego, pieśń o człowieku przeobrażającym przyrodę i siebie samego. Pieśni te będą tworzyć harmonijny repertuar z krakowiakiem o Jakubie Szeli, z buntowniczą pieśnią chłopca pańszczyźnianego oraz z hymnem z czasów Deczyńskiego „Gdy naród do boju”.

Związek Samopomocy Chłopskiej musi wytworzyć w swej pracy kulturalno-oświatowej nowe treści życia społecznego wsi, jak również ująć tak we właściwe formy organizacyjne nurt pracy kulturalno-oświatowej, żeby można było opracowywać i wykonywać w tej dziedzinie wyraźnie określone plany w przewidzianych terminach.

Jakkolwiek ponosimy główną odpowiedzialność za upowszechnienie kultury na wsi, to jednak nie jesteśmy osamotnieni. Naszym najbardziej bliskim współpracownikiem jest Związek Młodzieży Polskiej i on wniesie najwięcej inicjatywy i treści do prac kulturalno-oświatowych. Ale przecieżodeprą nas i partie polityczne, pomogą nam rady narodowe, współdziałając z nami będą władze oświatowe i nauczycielstwo. Wreszcie spółdzielnie gmin-

ne Samopomocy Chłopskiej wyraźnie postawiły w swym statucie popieranie pracy kulturalno-oświatowej. Jeszcze muszę wymienić jednego z głównych sprzymierzeńców w pracy kulturalno-oświatowej na wsi, a mianowicie Centralną Radę Związków Zawodowych oraz Związek Robotników Rolnych. Związki Zawodowe mogą się poszczycić już bardzo pięknymi osiągnięciami w tej dziedzinie, tak w pomocy bezpośredniej, głównie w postaci cennych bibliotek, jak również i w ramach łączności miasta ze wsią. Niewątpliwie Związek Samopomocy nie pozostanie dłużny Związkowi Zawodowemu przynajmniej w dziedzinie występów naszych zespołów w mieście, bo z inwestycjami materialnymi nie będziemy się angażować — jako że jesteśmy biedniejsi od Związków Zawodowych.

Czy nasz aparat i organizacje, które wymieniałem, zdołają upowszechnić kulturę na wsi? Nie, absolutnie nie! Droga organizacyjną nie potrafią tego same zrobić, choćby wylazły ze skóry! Najistotniejszym czynnikiem, który zdoła to zrobić, jest sam lud, są masy młodzieży wiejskiej, kobiet i starszych chłopów. W masach chłopskich, a zwłaszcza wśród młodzieży wiejskiej tkwi olbrzymia siła tęsknoty do oświaty i kultury, tkwi przez wieki gromadzona siła buntu przeciwko upośledzeniu kulturalnemu. Jest to siła żywiołu. Wszystkie natomiast nasze zabiegi organizacyjne mają wyzwolić tę siłę i planowo ją pokierować. Pastuchowi — sierocie, który chodzi po zimnej rosie bądź w skwarnym upale za ogonami krów bogacza wiejskiego, śni się kurs przygotowawczy do uniwersytetu, inny znowu grając na wierzbowej fujarce, marzy o szkole muzycznej. To nie jest deklamacja. Przeczytajcie „Stare

i Nowe” Lucjana Rudnickiego, gdzie autor ten opisuje, jak będąc 8-letnim pastuszkim maczynych gęsi, wydierał z ognia palone przez sanitariuszy księgi po zmarłym na cholerę proboszczu. Przeczytajcie sobie książki zyciorysów tych pastuchów i parobków, którzy przez kursy przygotowawcze dostali się na politechnikę. Przypomnijcie sobie choćby nasz egzamin wiejskich muzykantów.

Wyzwalać i organizować żywiołowy ruch mas może tylko działacz, ideowiec. Urzędnik organizacyjny nic tu nie zrobi. Tylko bowiem ideowy działacz społeczny może zrozumieć potrzeby mas ludowych i przodować w pracy, przewidując następne etapy rozwoju i przygotowując dla nich grunt. Dlatego też praca kulturalno-oświatowa ZSCH i wielka ofensywa, do jakiej przystąpiliśmy, nie może być traktowana jako forma urzędowania. Tu musi być działalność, inicjatywa, poświęcenie, których się nie da zmierzyć grupą uposażenia lub ilością godzin nadliczbowych. Nie może ona polegać na formalnym biurowym załatwianiu spraw i interesantów chłopskich. Takie urzędowanie psu na budę się nie zda w ofensywie kulturalno-oświatowej.

Załady gromadzkie i gminne, prezydium Zarządów powiatowych i wojewódzkich oraz Zarząd Główny ZSCH stoją wobec egzaminu, który wykaże, czy wieś polska ma istotnie ideową masową organizację, czy też reprezentowana jest przez drabinę małodusznych urzędników, oderwanych od mas i nie mających z tymi masami wspólnego języka.

Ja, koledy, wierzę, że ZSCH jest coś więcej wart i że nie zawiedzie zaufania chłopów i rządu ludowego.

Stefan Ignar

Bronisław Chęciński

KOMUNIKATY WIERSZOWANE

Wiersze Bronisława Chęcińskiego, autor tora drukowanego niedawno w naszym piśmie poematu „Strajk we wsi Drewnianej” to komunikat z warsztatu nowej literatury mas ludowych. „Tematy do wierszy czerpałem bezpośrednio z życia współczesnego i autentycznych wydarzeń społecznych” — pisze autor w liście do redakcji. Literatura ta użytkowa Wszystkie potoczne formy społecznego porozumienia. Rozwija komunikat radiowy i notatkę dziennikarską, komentuje terenowe sensacje. Forma wierszowa organizuje tu treści bardzo jeszcze artystycznie surowe, heroizuje specyficzne dokumenty świeże-

go triumfu klasowego. Powstaje pieśń o wielkiej zmianie:

„Nie tylko jeden Janek Kaniewski, ale inni jego rówieśnicy a za nimi całe bataliony od dołu falą popłyną i uderzą w sztukę”.

Mamy prawo i obowiązek zwrócić uwagę pisarzom i działaczom z pola kultury i oświaty na ten nurt potocznej wypowiedzi, który napiera na poezję, dlatego że w nim już wiele momentów walki i zwycięstwa klasowego mocno się osadziło, bogacząc ten nurt o nową fabułę i formę.

REDAKCJA

DZIECI NIEŚLUBNE

Moja matka miała pięcioro nieślubnych dzieci.
Mówili: taka, owaka —
i ja, banita praw obyczajowych,
rosłem surowo,
a ze mną moich czterech braci.

Ciężko było i przykro, i wstyd,
a matka nie, tylko często zaciskała w zgrzyt
zółkłe zęby i wstając ze słońcem
harowała.

Harowała dosłownie czarnymi rękami,
aby jej nieślubni, mali proletariusze,
mieli choć po tej kromce chleba, gdy z barłogu wstaną.

Czas się z nami nie pieścił,
traktował nas wrogo,
a myśmy jakoś rośli
i rosnąć nie bardzo wierzyliśmy w Boga.
Bo jakże można pozwolić na krzywdę biednych dzieci
i jak takiemu Bogu może słońce świecić.

Mówili na nas: komuniści,
nie było miejsca w życiu dla dorastających,
więc przyginaliśmy swoją młodość.
Szkoła? Tak, w szeregach bezrobotnych lub strajkujących.

A dzisiaj taki pan Kołtuński zgrzyta zębami,
lub dla odmiany zjadliwie się uśmiecha.

Milcz Kołtuński i nie pchaj nieczystego dzioba,
myśmy przenicowali twe czarne sumienie.
Nowa Polska nie musi się tobie podobać,
a pieszcząc siebie w myślach, nie udawaj,
że troszczysz się o jej zbawienie.

Właśnie nadchodzi i dzień sprawiedliwy nam niesie:
dla wszystkich nieślubnych dzieci
znajdzie się w niej sprawiedliwe miejsce.

I matką moją ta Polska nie pogardza
i ma czas, by szacunkiem jej czarne ręce obdzielić.

INACZEJ

Spotkano w 1945 we Wrocławiu człowieka,
który patrząc na dymiące mury,
ironicznie pod nosem się uśmiechał:

I któż to odbuduje, kapitału trzeba,
bo kapitał dać może pracującym chleba.

Potrząsnął magicznym słowem „Ameryka” i odszedł.
Machnięcie jego ręki zawisło w powietrzu.

Jakoś po małych trzech latach widać ślady ruinoburczej pracy.

Bez cudotwórczości amerykańskiego kapitału,
wnoszą za śpiewem, piętro po piętrze, młodzi, junacy,
a starzy ludzie po trochu im pomagają.

I rośnie nowy Wrocław,
i rośnie nowa Warszawa,
sięgają młodzi po życie.

LOT NAD POLAMI

„Największe zainteresowanie lotnictwem wykazuje młodzież wiejska”,

mówi komunikat prasowy.

„Obecnie szkolić się ona może na kursach Przynależności Lotniczego w Rządowie.

Na sterach samolotu trzymając ręce od pokoleń do pług nawykłe,
pewnikiem, szybując międzymurnie,
będą strzelać chłopskimi oczami na pola i między znajome opłotki.
Ładować sercem na łąkach między polami,
a leć, równocześnie skrócą drogi między miastami.
Dzięki temu zbliżą się miasta do wsi
i ta kultura, której trudno się było przedrzeć za miejskie opłotki,
stanie się najpowszechniej obywatelowi płaconym podatkiem.
(Samoloty nie bomby będą wróżyć, ale
upartymi śrubami przewiercając dale,
wiedzą czarno na białych drukowaną księgach,
w swoich kadłubach nosząc, rozpowszechniać będą).

EGZAMIN

Oto stoi przed komisją egzaminacyjną kandydat na artystę,
w postaci piętnastoletniego chłopca.
W rękach instrument, a na twarzy widać wyraźnie,
że prawidła sztuki nie są mu już zupełnie obce.

Właśnie w związku z tym nasz Janko Muzykant
przeżywa dzisiaj spore święto.

Można by się tu patetycznie unieść, ale nie ma potrzeby,
bo mimo pewnej niezwykłości, jest to fakt zasadniczo prosty
i w długim szeregu przechodzi do historii.

Oto kilkudziesięciu Janków, młodych chłopów i robotników,
przyjmuje się dziś do Warszawskiego Konserwatorium.
Za lat parę taki Janek Kaniewski zagra Chopina
i przypuszczalnie cała Polska będzie go słuchać
i może powie, że lepszego pianisty od niego nie ma.

Nie tylko jeden Janek Kaniewski, ale i inni jego rówieśnicy,
a za nimi całe bataliony od dołu falą popłyną i uderzą w sztukę
i pod wyczulonymi doświadczeniem palcami
zamienią ją w powszechną szczęścia naukę,
szczęścia, które jak chleb zwykły między nami stanie.

TO NIEPRAWDA, ŻE...

To nieprawda, że człowiek przy blasku gwiazd
musi wypruć swe siły,
ażby inny mógł bezkarnie porastać w luksusowy tłuszcz.
To nieprawda i nie dojdzie do tego, aby się takie rzeczy u nas
powtórzyły.

Na wyzysk społeczny nie pozwolimy, i już!
Pan Fabrykancki, pan Obszarnicki i pan Kołtuński
niechaj też pracują osobiście i rękami,
ale uczciwie, bez ciemnych macherek.
Jeżeli nie, to niech się wynoszą do jasnej cholery!
Kiedy na całym świecie Fabrykanckich, Obszarnickich
i Kołtuńskich

dobrze za łeb weźmiemy,
to i zbiorowe zbrodnie, organizowane przez nich wojny,
znikną z powierzchni czasu i ziemi.

P. S.

Gdyby ktoś stojący z boku nie rozumiał dokładnie o kogo w słowie „my” chodzi, należy go objaśnić: „My” to znaczy my ciałem i duchem młodzi.

Jan Maria Gisges

ŻYWA TRADYCJA

(Z wystawy pamiątek i dokumentów po ks. Ściegiennym)



Ks. Piotr Ściegienny przy pracy (Portret kredką Włodzimierza Tadeusza Ściegiennego — Kraków 1949)

Na wystawie pt. „Ks. Piotr Ściegienny na tle epoki” w Kielcach objął protektorat Marszałek Sejmu ob. Władysław Kowalski. W dniu 2 czerwca uroczystie otworzył wystawę minister Wincenty Baranowski. Na uroczystości otwarcia przybyli z Warszawy prezes NKW PSL J. Niecko, sekretarz NKW SL — Józef Ozga-Michalski i sekretarz NKW PSL — Banach, wraz z liczną ekipą dziennikarzy. Tego dnia zwiędził również wystawę naczelny dyrektor Muzeów i Ochrony Zabytków prof. dr St. Lorentz.

Święto Ludowe roku 1949 w skali ogólnopolskiej rozpoczęła w Kielcach uroczystość otwarcia wystawy poświęconej życiu i działalności chłopskiego rewolucjonisty ks. P. Ściegiennego.

Sprawa ks. Piotra Ściegiennego nie była zwykłą sprawą, skoro władze carskie postarały się o to, aby zniszczyć jej ślady, a samego twórcę spisku zozydźić w obliczu ówczesnych opinii państw europejskich i wobec rodaków.

Historia głośna, która narobiła wiele hałasu w latach 1844—46, na długi okres ścisła, aby nareszcie po stu latach nabrać nowego rozgłosu.

Różni różnie rozumieli postać i działalność chłopca z Bilczy i rozmaite też na przestrzeni tych lat zajmowali stanowiska. Albo opowiadali się po stronie bohatera, albo też odsądzali go od czci i wiary, uważając za zdrąpcę lub zniechęconego wroga szlachty w ogóle.

Do rozwikłania legendy, jaka przechodziła z ust do ust w opowiadaniach starych chłopów we wsiach kieleckich i lubelskich, z których trudno było wyłowić sens pracy Ściegiennego, jak i do właściwego naświetlenia postaci i całej sprawy z punktu widzenia czysto historycznego — przyczyniła się praca badawcza dr. Mariana Tyrowicza, której wyniki zostały ogłoszone w dwóch książkach.*

Pierwsza z nich to monografia historyczna, po przeczytaniu której nasuwa się myśl o brakach natury historycznej, o niezupełnie pełnym jeszcze obrazie epoki. Zbyt słabo omówione i opracowane są podstawy ekonomiczne, mocniej znacznie zaakcentowane jest to społeczne i polityczne, a słabiej znowo zmontowana jest nadbudowa ideologiczna. Ta nierówność w opracowaniu materiału końca XVIII i pierwszej połowy XIX wieku powoduje pewną chwiejność tej wiedzy i daje nierówny w barwach i kompozycji obraz ruchów rewolucyjnych i spisku Ściegiennego w układzie pionowym. Nasuwa się tu pytanie, czy Tyrowicz wykorzystał wszystkie możliwe pamiętniki i źródła do opracowania tej monografii.

Wymienione luki częściowo uzupełnia wystawa kielecka pt. „Ks. Piotr Ściegienny na tle epoki” i katalog teje wystawy w wydaniu książkowym. Wystawa więc z katalogiem jest dopowiedzeniem, głosem pierwszej książki Tyrowicza o Ściegiennym.

Jeśli w ten sposób spojrzymy na obie książki dr. Mariana Tyrowicza, obraz ruchów rewolucyjnych w latach 1831—48 nabierze żywszych barw, stanie się żyjącą i mówiącą epoką o dość pełnej skali. Wystawa opracowana systematycznie, z wnikliwością upartej badaczki, oparta na metodzie badań socjologicznych, daje obraz prawdziwy, który

niewątpliwie zostanie w pamięci każdego, kto go zobaczy i szczegóły po szczególe przeanalizuje

Spróbujmy przeczytać tę drugą książkę. Przerzucając jej pierwsze kartki widzimy znane twarze — Lelewela, Mochnackiego, Zwierkowski, napotykamy na nazwiska Golicynów, Paskiewiczów, Engelów, przyglądamy się nędzy chłopów uprowadzanych na zesłanie, brakom i karam, które spadały na chłopów za udział w powstaniu 1831 r.

Przebiegamy wraz z autorem myślą przez czas, kiedy radykalne i postępowe, rewolucyjne ugrupowania polityczne zawiązywały się i działały na emigracji, w Królestwie Kongresowym, Galicji, zwracając specjalną uwagę na sprawę włościańską — pańszczyznę, projekty, plany i myśli dotyczące uwłaszczenia. Przechodzimy obok postaci Seweryna Goszczyńskiego, Szymona Konarskiego, Henryka Kamińskiego, Edwarda Dembowskiego, Levitoux, Krajewskiego, Erenberga — jak koło potężnych pomników postawionych pieczołowitą ręką Klio na ogromnym cmentarzu historii. Przechodzimy ze zdumieniem, że tylu ich było i przechodzimy ze złością, jak koło mauzoleum.

SZUKAMY ŚCIEGIENNEGO

Wchodzimy w opłotki pańszczyźnianej wsi. Nędzne chaty słomą kryte, mchem zabezpieczone od zimna, w których obora, kurnik i chlew się mieści, stoją bezładnie jak wystraszone dzieciśka ze zwichrzonymi czuprykami pośród drzew. Pod niekiedy chałupą siedzi w łachmanach chłop i tępo spoziera na błotnistą drogę albo na nogi, na których ma tylko łapcie. Z jakiegoś podwórka słychać krzyki bijących się wyrostków. Ów gdzie dziewczyna karmi indyki. Z pola dochodzą wrzaski ekonoma, który z nahajką pogania chłopów i baby. Poza wsią „ekonom szlachcki w kontuszu i przy pałaszku uprowadza z lasu na postrońku chłopkę z kagańcem na twarzy, przychwyconą na szkodzie”.

Drogą wiodącą do miasta suną wolno komornicy — bezrolni chłopci szukający chleba i pracy. Ci z nich, którzy pracy nie dostaną, zostaną pewnie w mieście — żebrakami.

Zbliża się wieczór. Kilka kilometrów dalej w mroku posuwa się wolno wóz, do którego są zaprzężone woły. Na nim sosnowa, zwykła trumna. Kilka smutnych postaci zawodzi. Pogrzeb, który musi się odbyć późnym wieczorem, bo w dzień czasu nie ma na pochówek. Odróbka pańszczyzny w polu nie pozwala na marnowanie dnia.

Z dała na prawo w koronie ogromnych drzew spokojnie dymi jednym kominem pałac dworski. W alejach parku bieleją sylwety wytwornych postaci kobiecych.

Przestańmy, aby się zastanowić nad dolą i niedolą człowieka, który nie był uważany za człowieka, bo człowiekiem wtedy był ten, kto nosił sygnet na palcu i pieczętował się herbem.

Na podstawie ostatnio przeprowadzonych badań przez dr. Jana Pazdura można określić stan ekonomiczny Kielecczyny, ściślej chłopstwa tego regionu w latach 1846—47, a więc w latach prawie że jeszcze „ściegiennych”.

W roku 1846 gęstość zaludnienia wynosiła na 1 km. kw. 80 osób, podczas kiedy w wieku XIV — zaledwie dwie osoby. Na marginesie należy dla ścisłości zaznaczyć, że obliczenia uwzględniają tylko wieś. Społeczny stan ludności „ekonomii kieleckiej” w 1847 r. przedstawiał się następująco: 500 — szlachty, 5.000 mieszkańców miasta Kielce, 27.000 — chłopów. Społeczny podział ziemi wyglądał w 1847 r.:

- 4,35% — sołectwa, wójtostwa itp.
 - 0,35% — górnicze
 - 7,87% — folwarki
 - 26% — chłopskie
 - 61,3% — lasy.
- Społeczne rozczłonkowanie ludności chłopskiej:
- 1,5% — koloniści oczyszczani
 - 2,5% — służba folwarczna
 - 4% — funkcjni (gajowi, drogowi, itp.)
 - 25% — chałupnicy
 - 31% — pełnorolni (od 8 do 10 mórg)
 - 36% — półrolni i ćwierćrolni.

W omawianym okresie tak wyglądały obciążenia chłopca — pańszczyzna na rzecz dworu: chłopci pełnorolni 58 dni sprzążajnych i 8 dni pieszych w roku, półrolni musieliby odrabiać 59 dni pieszych w roku, ćwierćrolni 30 takich dni, zaś wszyscy zagrodnicy płacili 17 zł czynszu rocznie z morgi, 1 — 1,5 zł. z morgi miesięcznie, 1 korzec owsa z 4 mórg — osep.

Całość świadczeń chłopca na rzecz dworu przedstawiała wartość 101 zł 21 gr. Na rzecz państwa musieliby zagrodnicy, chałupnicy i różni funkcjni chłopci dawać tzw. subsydium charitativum, podymne, kontyngent liwerunkowy, płacić składki ogniowe i odrabiać szarwark. Zaś chałupnicy posiadający dom bez ziemi byli zmuszeni płacić czynsz dominialny 2 zł 15 gr rocznie, zagrodnicy i chałupnicy odrabiali 8 dniówek rocznie w państwowych zakładach górniczych za połowę zwykłej płacy. Całość świadczeń zagrodników na rzecz państwa średnio wynosiła 30 zł rocznie.

Średni dochód chłopca wynosił 50 zł jako równowartość czynszowa mieszkanca bezpłatnego (drzewo na dom otrzymywał chłop

za darmo z lasu), 20 zł — wartość otrzymanego z lasu bezpłatnie drzewa opałowego, 60 zł — równowartość prawa bezpłatnego dopasu bydła, 75 zł — zapłata za 75 dni swobodnego najmu i 114 zł — dochód z roli. Jak z tego zestawienia wynika, roczny średni dochód zagrodnika wynosił 319 zł, Robotnik folwarczny otrzymywał od 80 do 160 zł rocznie z wyżywieniem rodziny. Całość świadczeń chłopca zagrodnika na rzecz dworu i dla państwa miała wartość 131 zł 21 gr, za co można było kupić dwie dobre krowy lub 28 korcy owsa. Na utrzymanie i potrzeby życiowe swoje i całej rodziny zostawało zagrodnikowi 187 zł 9 gr rocznie czyli 16 gr na dzień.

Dział wystawy ilustrujący stan chłopca w pierwszej połowie XIX w. nie uwzględnił rugów chłopskich i „ukazu” Mikołaja I z 1846 roku. Brak omówienia tabel prestacyjnych, flich zastosowania ewentualnie omijania w praktyce. Często bowiem zmniejszano ziemię chłopom, ponieważ geometrzy robiący pomiary, zazwyczaj w zmowie ze szlachtą, uszczuplali stan posiadania chłopskiego, a co za tym szło, wzrastały daniny i potrzeby. Fakty te powodowały niezadowolenie ludności wsi, bunt, które mając już tradycje w regionie i ostatnio podminowane agitacją i spiskiem ks. Ściegiennego, wybuchły coraz częściej. Ziarno rzucone przez niego kielkowało.

BEZPŁATNE OBCIĄŻENIA*

„Urządowe śledztwo carskie stwierdziło, że w Jachowej Woli (pow. kielecki) w 1842 r. zmuszono chłopów do 2.000 dniówek sprzążajnych ponad normę. W Sukowie k/Kielce w roku 1840 groźbą bicia dzierżawca Gąsiorowska powiększyła pańszczyznę o jedną trzecią. Dzierżawca zakładów górniczych Maurycy Konior w raporcie do urzędu w r. 1842 stwierdza, że dzierżawcy folwarków wymuszają co najmniej podwójną pańszczyznę.

F. Daleszak z Kowali k/Bilczy w 1838 roku odrobił 181 bezprawnych dniówek”.

W 1843 roku Krajno, w którym było 63% bezrolnych, odmówiło w ogóle odróbki nadmiernej pańszczyzny. Każdego kozaka, który przyjeżdżał po czynsz — ściągano z konia, rozbięrano do bielizny i puszczano w pola. Władze carskie na skutek powtarzających się stale incydentów — wysłały 2 rotę piechoty pułku halickiego na „pacyfikację”. Roty te otoczyły wieś, zgonyli wszystkich mężczyzn w jeden kraniec wsi i wymierzyły plagi od 10 do 30 każdemu. Kilkunastu chłopów „buntowszczyków” wypędzono ze wsi bez prawa powrotu, między innymi i ściegienszczyka Baltazara Susło.

Oto kilka zaledwie wypadków, które zostały z tych czy innych względów zanotowane przez sądy rosyjskie i które zachowały się w aktach archiwalnych do dzisiaj.

Dnia 31 stycznia 1800 roku w chałupie gajowej Wojciecha Ściegiennego w Bilczy urodziło się dziecko płci męskiej, które ochrzczono Piotrem — opoka. (Potwierdzenie tej daty i miejsca urodzin znajduje się w dokumencie oo Pijarów — z czasów kiedy Piotr Ściegienny wstępował do zakonu).

Ojciec Piotra nie był chłopem zbyt ubogim i pewnie nie było u niego wielkiej nędzy, skoro późniejszy sołtys, a tym samym zwolniony od pańszczyzny, mógł wykształcić „na księdza” jednego syna i na geometrę drugiego Facykuł archiwalny Archiwum Komisji Rządowej Przychodów i Skarbu, Wydział Dóbr podaje iż Wojciech Ściegienny posiadał w 1826 r. 6 mórgów i 200 prętów roli, 1 morgę łąk, 4 woły i 2 krowy. Należał do dawnego Dozorstwa Białogona wchodzącego do „ekonomii dóbr górniczych”.

Poglądy Piotra Ściegiennego nie były oparte tylko na obserwacji życia, na świadomości złych i niesprawiedliwych ówczesnych stosunków społecznych, na chęciach dokonania zmiany. Radykalizm jego miał swe źródło i we wpływach kolegów ze Szkoły Wojewódzkiej w Kielcach — późniejszych działaczy i pisarzy, jak Ludwik Królikowski, Antoni Cypryński, Stanisław Ropelowski. Na radykalizm ten wpłyneli niewątpliwie i „współcześni mu i znajomi pijarzy: Puławski — bardziej od Ściegiennego radykalny. Szynglarski, Gacki, Tackowski”.**

Jako mężczyzna 32-letni zostaje Piotr Ściegienny wyświęcony na kapłana i w kilka lat potem, po kasacie zakonu pijarów — zostaje wikariuszem, księdzem świeckim w Wilkoła, zie, gdzie proboszczem był ks. Bartłomiej Sobolewski. W tym czasie najprawdopodobniej zaczyna swa żywą działalność oświatową i polityczną.

Niska, krępa postać księdza w podrudzialej sutannie znali nie tylko chłopci spod Krasnika, Urzędowa, w parafii Wilkołaskiej, później Chodelskiej, jego małe świdrujące oczka znali mieszczanie ze Szczebrzeszyna, Hrubieszowa, Radomia i Kielce, jego brzydka, szeroką grubo rytą twarz znali spiskowcy Warszawy, emisariusze Towarzystwa Demokratycznego Polskiego z Paryża, jak Erazm

Zaremba, Związku Narodu Polskiego np. Gerwazy Gzowski z Łęczycy, Celsjusz Lewicki z Lublina, Henryk Krajewski z Warszawy

Dnia 24 października 1844 roku pod Krajnem w samo południe odbył się wielki wiec, na którym ks. Ściegienny wygłosił płomienne przemówienie do licznie zebranych chłopów, mieszczan i kilkudziesięciu postępowej szlachty. Zebranie to było całkowicie niezakasprowane. Nie było nawet wart wystawionych. Ks. Piotr zbytnio uniesiony zapalem i wiarą w powodzenie spisku przestał zwracać uwagę na węszące władze carskie.

Z drobnych zachowanych relacji o tym okresie działalności Ściegiennego wynika jasno, że entuzjazm spiskowców i ich przywódcy przyciła mocno czujność i ostrożność, które winny cechować konspiratorów i stał się przyczyną upadku przygotowywanego powstania chłopskiego. Zbyt wcześniej został ujawniony cały ruch na terenie Kielecczyny i Lubelszczyzny. Przez poważne braki tej własnej natury mógł Rychter w Lublinie, Sobolewski w Radomiu i Janic w Kielcach prawie jednocześnie zdradzić nie tylko ludzi, ale i koncepcje polityczne całego rewolucyjnego ruchu.

Postać w podrudzialej sutannie została przez wszystkie trzy stany zdradzona i skazana na zagładę. I nie tylko ona. Przecież pod Krajnem w wiecu brało udział 2.000 ludzi.

Ks. Ściegienny aresztowany!!! — rozniósł się po całej Kongresówce, wywołując albo panikę albo też powodując ucieczki za granicę. Ks. Ściegienny aresztowany — to znaczy upadł spisek.

Na ostatnich kartach książki - wystawy widzimy portrety Marksa i Engelsa, którzy byli obrońcami spraw rewolucji polskiej na zachodzie Europy, znajdujemy sprawy rewolucji chłopskiej w Chochołowie, tajnego Związku Plebejuszy Polskich, którego twórcą był Walenty M. Stefański i Józef Esman, przewija się rewolucja lutowa w 1846 r. i ruchy chłopskie w Galicji.

Skąd wyrósł Ściegienny, Stefański, Szela? Skąd wyrastał inni buntownicy, rewolucjonisci, których nazwisk historia nie zanotowała? Czy tylko z tradycji walki o wolność, usamowolnienie, o sprawiedliwy ustrój? Czy tylko z ducha epoki, w której taki panował zwyczaj, że trzeba się było buntować?

Przyczyna leżała głęboko na dnie życia społecznego.

Wojna krajowa - wydatki i przychody

Wojna krajowa - wydatki	150,000	310
Wojna krajowa - przychody	150,000	60
Wojna krajowa - wydatki	300	70
Wojna krajowa - przychody	300,000	1400
Wojna krajowa - wydatki	40,000	60

Rękopis ks. P. Ściegiennego „Zakon Chrześcijaństwa” (Ze zbioru rękopisów im. H. Łopacińskiego w Lublinie)

Schyłkowe formy feudalizmu łącznie z rozwijającym się kapitalizmem stwarzały takie warunki życia i pracy dla chłopów i robotników, że musieli oni użyć broni czy to w formie buntów, rzezi, spisków, czy strajków, aby wywalczyć nowe warunki pracy i bytu, zaprzeczyć temu, co się działo w ekonomii, w gospodarce i stworzyć nowe ideologie, własne koncepcje przebudowy radykalnej ustroju drogą rewolucji.

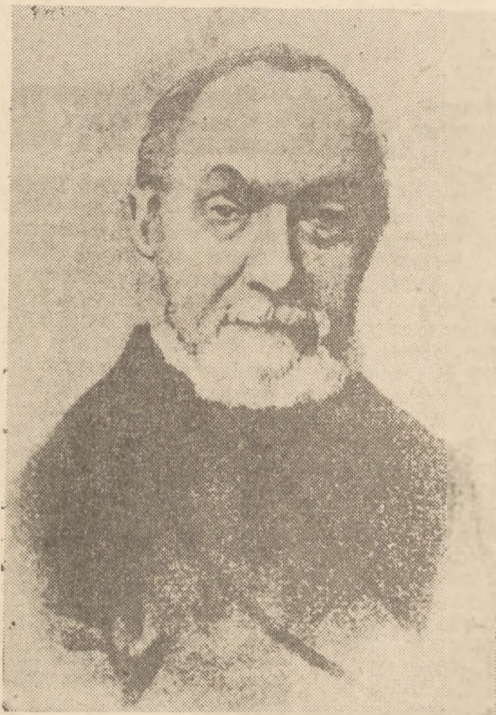
O takiej rewolucji marzył i Ściegienny. Rewolucji, w której lud polski i rosyjski razem pójdą przeciw rządowi i caratowi.

Wystawę kielecką zwiędziło już 10.000 ludzi. Przeciętnie dziennie odwiedza ją do tysiąca osób. Liczba ta dotychczas nie była jeszcze nigdy notowana w czteroletniej historii istnienia Muzeum Świętokrzyskiego.

*) Marian Tyrowicz, Sprawa ks. Piotra Ściegiennego — Biblioteka historyczna, „Książka”, Warszawa 1948.
) Marian Tyrowicz, Katalog wystawy historycznej — ks. Piotr Ściegienny na tle epoki, Muzeum Świętokrzyskie, Kielce 1949.

*) Podane fakty zostały wydobyte przez dr. J. Pazdura i jeszcze nie ogłoszone drukiem.
) Relacja Ks. M. Żywczyńskiego.

O położeniu klasy robotniczej w Anglii (II)



Jan Wincenty Mazurkiewicz (1813—1887)
(Prawdopodobnie autor artykułu „Położenie klasy robotniczej w Anglii”)

Autor przechodzi następnie do pojedynczych gałęzi pracy. O ile tylko da się — krótko wyłożymy ich różnicę. Pojedyncze gałęzie pracy idą po sobie w tym samym porządku, w jakim szerzył się między niemi ruch przemysłowy, który w XVI w. okazał się w Anglii. Wyrobicy każą się klasyfikować znowu podług pracy, jaka stanowi ich zatrudnienie. Na czele wyrobicy stoi proletariat przemysłowy złożony z tych ludzi, do których rozciąga się akt fabryczny — to jest ustawa urządzająca pracę w największych zakładach przemysłu angielskiego. Jest to klasa robotników najliczniejsza, najstarsza, najoswiecenijsza, najmielsza, a z tego powodu bardzo niespokojna i od mieszczan niesłychanie znienawidzona. Prym mają w niej wyrobicy z fabryk bawełnianych, równie jak ich panowie pomiędzy klasą mieszczańską.

Przez ciągle zjawiające się poprawy w mechanizmie tej gałęzi przemysłowej (coraz więcej wyrobicy zostaje bez chleba, a kobiety i dzieci pozbawiają ich pracy. W Stockport, gdzie w r. 1835 pracowało 800 przadków męczyzn, w r. 1843 mogło mieć pomieszczenie już tylko 140, pomimo to, że przemysł bawełniany ciągle wzrastał. Każde jakie takie polepszenie wywiera na wyrobicy wpływ przesiłenia handlowego. Tu napotykałyśmy zupełne rozwiązanie się rodziny. Kobiety, które cały dzień pracują w fabryce, nie są w stanie zadość uczynić swym obowiązkom względem domu; a nawet ponieważ od samej młodości są w ten sposób zatrudnione, przeto nie znają żadnej pracy i poprostu nie umieją być u siebie gospodyniami. Nawet obowiązkom macierzyńskim nie czynią zadość; czas połogu ile tylko możliwości, zmuszone są skrócić, bo przez długie niestawienie się do pracy mogłyby stracić we fabryce swoją pracę wyrobicy. Przed położeniem kobieta zatrzymuje się przy pracy fabrycznej dopóki tylko może; nieraz we fabryce gdzie w kącie pomiędzy maszynami zlegnie; zwykle zaś w trzy, cztery dni po odbyciu choroby już przy pracy siedzi. Na karmienie niemowlęcia używają tylko przepisanych spoczynków, w których atoli same jeść muszą. Często się zdarza, że dziecko głodne, a matkę syczy pierś przepelniona mlekiem, ale maszyna fabryczna nie może się dla dziecka ociągać, tylko idzie swoim biegiem. Jak zły wpływ takie stosunki na utrzymanie w czerstwości i na wychowanie dzieci mieć mogą, jest rzeczą łatwą do przewidzenia. Praca fabryczna jest w ogóle nie ciężka, ale niezmiernie nużąca i usypiająca. Przesilenie w pracy, ciągłe stanie, bo siadanie zwykle bywa pod karą zabraniane, staje się powodem zwłaszcza u dzieci garbacizny i innego kalectwa. Wyrobicy w czterdziestym roku życia są do pracy niezdolni, mało który wytrzyma do czterdziestu pięciu, a prawie żaden do pięćdziesięciu. U kobiet przez ciężką pracę organa najżywniejsze przekształcają się inaczej jakby je chciała urządzić natura w celu rozmnażania ludności i często bywają położnicami, które zabijają matkę i dziecko. Gorąco zwyczajne po zakładach fabrycznych wywiera niezmiernie szkodliwy wpływ na słabsze i źle żywione dzieci, a zwłaszcza na dziewczynki. Wiele chorób wywodzi początek z urzędzeń i prac fabrycznych. Wyrobicy fabryczni mają po większej części bardzo bladą i niezdrową cerę, cierpią na osłabienie całego ciała i według sprawozdań komisji popisu wojskowego muszą być puszczani do domu jako całkiem niezdolni do służby. Są nie tylko słabi, ale w znacznej części zdrobniali. Niektóre gałęzie fabryczne wywołują sobie tylko właściwe skutki, a nadwężające niezmiernie zdrowie człowieka. I tak po izbach zakładów bawełnianych i inne włókna rozmaite wyrabiających, wznoszący się w powietrze proszek włók-

nisty bardzo szkodzi na płuca, mokre przetrzenie lnu niweczy całkowicie zdrowie bardzo wielu dzieci. Do tego wszystkiego trzeba doliczyć wypadki nieszczęśliwe, które przy maszynach fabrycznych są zwykłą rzeczą. Najczęściej zdarzają się one przy czyszczeniu maszyn, bo wyrobicy spieszą się, aby przez spoczynek nie uszczuplić sobie i tak drobnego dochodu. Po Manchesterze nie tylko więcej jak gdzie indziej jest ludzi garbatych i kalek, ale i z poobrywanymi rozmaitymi członkami: ten bez ręki, ów bez nogi; wygląda ludność jakby jakieś wojsko, co z długiej wojny do kraju wróciło.

Autor przechodzi teraz do burzenia się i rozruchów w klasie wyrobicy, w której widać nie mało gwałtowności i dzikości, ale trzeba pamiętać, że wojna specjalna w Anglii się toczy jawnie; mieszczaństwo prowadzi ją podstępnie z udawaniem filantropji; wyrobicy zaś ze zupełną otwartością. Najpierwszą, największą i bez namysłu zaprowadzoną opozycją była kradzież, która nigdy nie mogła być uznana za reprezentantkę opinii publicznej. Potrzeba przełamania zakorzenione poszanowanie własności, za kradzieżą nastąpiło gwałtowne burzenie maszyn, jakkolwiek i ten rodzaj opozycji pozostał tylko na bardzo cząstkowym stanowisku. Podczas takiego stanu rzeczy w oligarchiczno-toryskim parlamencie utrzymał się bil, który dozwolił wyrobikom zawiązywać stowarzyszenia. Już wcześniej istniały tajemne stowarzyszenia, a w skutek nich w wielu miejscach popuszczano robotę, lecz tajność stała zawsze na przeszkodzie należytemu rozwojowi. Od roku tedy 1824, pomiędzy wyrobnikami wszelkich gałęzi pozawiały się stowarzyszenia z głośno wyrażonym celem bronięcia ludzi pracy od napadów i tyranji mieszczańskiej. Stowarzyszenia te układały się z fabrykantami względem stosowniejszego wynagrodzenia pracy, starały się ograniczać przyjmowanie uczniów, zapobiegały na wszystkie strony uszczuplaniu dochodów wyrobicy i wspierały robotników, którzy pozostali bez chleba. Niekiedy stowarzyszenie jednej gałęzi przemysłowej rozciągało się przez całą Anglię; nie przyniosło to nigdy skutku mającego pewną trwałość, a tylko podsycało zaburzenia. Srodek, za pomocą którego stowarzyszenia swój cel osiągały, był zawsze albo cząstkowym, albo ogólnym usunięciem się od pracy. W cząstkowych usunięciach fabrykanci zawsze potrafili sobie dać radę, a robotnicy dopuszczali się nadużyć, które ich poddały odpowiedzialności sądowej i tym sposobem siła stowarzyszenia sama się niweczyła. Ale nawet ogólne usunięcie się od pracy nie przynosiło skutku, gdyż wyrobicy nie byli w stanie zmienić zasad całej ekonomji. W ogóle wszystkie te związki i stowarzyszenia pod względem zapobieżenia głównym przyczynom, pozostały zupełnie bez skutku i jedynie położyły tamę samowładnemu niżaniu zapłaty wyrobicy. Wszystkie zawieszenia w pracy obracają się nawet na szkodę wyrobicy, ale powinny jednakże ciągle protestować przeciw niżaniu płacy i przeciw konieczności tego niżania, bo do nich należy występować z oświadczeniem, że wyrobicy, jako ludzie nie powinni konieczności stosować się do okoliczności, ale mają prawo dążyć do tego, aby okoliczności do nich się stosowały; bo ich milczenie byłoby uznaniem, że mieszczaństwo w korzystnej porze handlowej mają prawo łowić zyski z pracy wyrobicy, a w niekorzystnej dopuszczają, aby wyrobicy umierali z głodu. Wyrobicy muszą protestować, dopóki tylko nie zatracą do szczętu całego ludzkiego uczucia, a że na tej nie zaś na innej drodze protestują, robią mądrze, bo myśl przytwarzają czynem. Zawieszenia pracy przynoszą i dalszy skutek, a mianowicie, dodają ducha opozycji, wyrobicy zaś codzień coraz bardziej przychodzą do przekonania, że zawieszenia pracy nie są wcale dostateczne do ukrócenia przewagi mieszczańskiej. To atoli stowarzyszeniom wyrobicy i z nich wynikającym zawieszeniom pracy największą daje wagę, że stanowią niejako początek usiłowań wymierzonych na zniesienie konkurencji. Prawda, że znoszą tylko pewną cząstkę konkurencji, to jest między sobą, co do pracy, ale na tym nie mogą poprzestać, muszą iść dalej i muszą znieść konkurencję na wszystkich stanowiskach. Z której strony należy to wielkie dzieło zacząć, rozpatrzają się wkrótce.

Nigdzie wyrobicy nie niweczają bardziej zarzutów, iż im brakuje odwagi, jak przy wielkich zamieszczeniach pracy, bo istotnie trzeba mieć bardzo silne postanowienie, aby odważyć się na kilkumiesięczny głód z żoną i dziećmi; wystawia się na niewątpliwą zemstę mieszczaństwa, którą po odniesieniu zwycięstw z pewnością wyrwie, a przecież pozostać przy oporze, dopóki tylko opór nie okaże się nadal zupełnie bez celu. Równie wielkiej wagi jest to, co mówią o przestrzeganiu ustaw krajowych ze strony wyrobicy: tylko dla mieszczanina ustawy są święte, bo są jego dziełem, a za nimi ujrzał sobie zysk i za nie się kryje. Wyrobicy stale domaga się zmiany ustaw i występuje przeciw nim ze swoją chartą ludową, co do formy czysto polityczną, tylko dopominającą się formowania parlamentu, którego atoli z pewnością pociągnęło za sobą zmianę całej konstytucji, opozycji przeciw mieszczaństwu, która to opozycja przedtem rozstrzeliwała się na stowarzyszenia i zawieszenia pracy.

Położenie proletariatu gminnego**) nie

jest pomyślniejsze, jak położenie proletariatu przemysłowego. Niezdrowe powietrze w kopalni staje się powodem wielu chorób, a mieszczańcin, któremu chodzi tylko o napełnienie worka pieniędzmi, woli, że tysiące ludzi giną, aniżeli by miał wydać kilka tysięcy funtów szterlingów na porobienie otworów, przewiewnych. Praca od zawsze była młodości, praca zawsze zbyteczna, pociąga za sobą kalectwa, a w połączeniu z chorobami ukraca życie górników. Moralność niknie w przeciążeniu pracą, już z tej przyczyny, że nieustanne znużenie łatwo rozwija nałóg pijaństwa. Dla zbytniego gorąca mężczyźni, kobiety i dzieci pracują wspólnie prawie nago; miejsca noclegowe są wspólne i w ciasnych obrębach, co dobrego wpływu na uobyczenie wywierać nie może. Eksplozje i inne wypadki w górnictwie zdarzają się, a to częstokroć, że dla skąpstwa właściciela nie starano się pozaprowadzać sposobów zaradczych, skracając nędzne życie górników. Szkodliwe i zapalne gazy gromadzą się w jaskiniach wyłomowych, a robotnik ma się przez lampę od nich chronić, kiedy na to tylko porobienie przewiewów, skutecznym środkiem być może. Strzeżenie zaś drzwi przedzielających jedne chodniki od drugich, poruczone bywa małym dzieciom, które często usypiają i drzwi pozostają otworem, przez zapalenie się gazów pożar może natychmiast przez całą rozszerzyć się kopalnią. Tym sposobem ginie w Anglii corocznie 1.400 ludzi, a inspekcja sądowa względem śmierci, zostaje zapisywaną w liście śmierci przypadkowych, choć to właśnie są śmierci ze skąpstwa i niedbalstwa bogatych przedsiębiorców kopalnianych. Najsmutniejszym jest położenie robotników w kopalniach węglowych; są oni także najmniej wykształceni.

Długo wyrobicy znosili spokojnie ten ucisk: duch opozycji początkowo zaczął się objawiać po okolicach fabrycznych, gdzie się znajdowali wyrobicy wyższego wykształcenia; potworzyły się stowarzyszenia, a tu i ówdzie zawieszano pracę. Wielki obwód kopalni węgla w północnej Anglii przy tych ruchach pozostawał ciągle w tyle aż do r. 1843, ale nareszcie i w nim zaczął się także objawiać duch oporu. Górnicy z Northumberlandu i Durhamu stanęli na czele stowarzyszenia górniczego w całym państwie i obrali sobie Roberta za jenerałnego prokuratora. Na dniu 31 marca 1844 r. upłynęły wszystkie kontrakty służbowe wyrobicy górniczych w tych dwóch wspomnianych obwodach; wezwali oni Roberta, aby im ułożył formularz prawny na kontrakty, który przedłożyli „królom kopalni“, to jest



Walenty Stefański

posiadaczom, a gdy ci ani przyjąć formularza, ani uznać unji wyrobicy nie chcieli, zawieszono pracę w kopalniach. Czterdzieści tysięcy górników stanęło bez zatrudnienia i do długiego oporu gotowych. Fundusze stowarzyszenia zabezpieczyły im na kilka miesięcy utrzymanie; Roberts objeżdżał całą Anglię, organizował agitację, zbierał składki i rozpoczął niejako wojnę przeciw sędziom pokoju i właścicielom kopalni. Była to ciężka walka, gdyż wyrobicy toczyli ją o głódzie i w największej nędzy, gdyż na koniec zabrakło funduszy, a składki nie wystarczały. Mieszczaństwo pozbawione komornego, wypędało górników z mieszkań, którzy musieli obozować pod gołym niebem w dżdżystej jesieni, a nawet groźbami zmusiło kramarzy do odmawiania wzbudzonym górnikom kredytu, mając zamiar naklonienia ich albo do pracy, albo do gwałtów, a wskutek których rząd byłby zniwolonny wystąpić ze siłą. Górnicy jednakże do pięciu miesięcy przetrwali w uporze, a nie dali się do gwałtu żadnego doprowadzić. Dopiero kiedy właściciele kopalni nasprowadzali z ogromnym kosztem górników aż z Wales i innych prowincji, przez co zupełnie odnieśli zwycięstwo, wntczas górnicy jako pokonani, weszli w układy i wrócili do kopalni. Unja rozwiązała się Roberts musiał porzucić prokuratorstwo generalne unji, ale za to, do trzydziestu tysięcy górników, dobrze uzbrojonych pomnożyło związek charitistów; publiczna opinia obróciła się ku górnikom i zaczęto

o ich położeniu w parlamencie mówić. Wkrótce po tem w kopalniach zdarzyło się kilka wypadków eksplozyjnych i Roberts przedłożył pierwszemu ministrowi powody tych nieszczęśliwych eksplozji, a minister oświadczył, że się zajmuje losem górników i na parlamencie z r. 1845 uczyni stosowny wniosek. Zaledwie rozeszła się wiadomość o rozwiązaniu owej unji, kiedy wystąpili górnicy w Lancashire i stanowiąc liczbę do dziesięciu tysięcy, znowu Roberta zamianowali swoim prokuratorem i wyznaczili mu tysiąc dwieście funtów szterlingów rocznej pensji.

Przy końcu dzieła, Engels rozpatruje się ogólnie w stosunku mieszczaństwa do proletariatu i powiada: „Nie zdarzyło mi się nigdy widzieć klasy ludzi równie zdemoralizowanej, popsutej, rozpreżonej i do żadnego postępu nie zdanej, jak jest mieszczaństwo angielskie — a zwłaszcza to liberalne mieszczaństwo, co to woła o zniesienie ustaw zbożowych. Dla niego nie istnieje nic na świecie, co by nie było dla pieniędzy stworzone, nawet siebie uważa tylko za narzędzie, za grzebadło do zagarniania pieniędzy. Nie zna żadnej wyższej uciechy nad dobry zysk, żadnej innej boleści jak z powodu utraty pieniędzy. Przy tej chciwości, przy tym łakomstwie na pieniądze jest niepodobieństwem, ażeby choć jedno ludzkie zapatrywanie na przedmioty całkiem zwicnięte nie zostało. W zwykłym życiu mieszczańcin angielski wygląda przyzwyczajony i obudzony dla siebie pewien szacunek, ale w ostatniej instancji zawsze pieniądź jest u niego miarą ma przedmioty całego świata. Wszystko mu jedno, czy wyrobicy opływają w dostatki, czy umierają z głodu, kiedy tylko on zyskuje.

Wszelkie stosunki życia oceniają się podług pieniędzy, a co nie przynosi pieniędzy, jest głupstwem, pomysłem niepraktycznym, idealnością. Dlatego ekonomja polityczna stała się ulubioną umiejętnością Anglii. Stosunek fabrykanta do wyrobicy nie wypływa z człowieczeństwa, ale z ekonomji politycznej. Fabrykant angielski jest żywym kapitałem, a wyrobicy jest żywą pracą. Nie może więc pojąć fabrykant, skąd wyrobicy byłby w stanie domagać się równego z nim stanowiska jako człowieka; nie może pojąć, aby z wyrobikiem mógł on stać w innym stosunku, jak kupna i sprzedaży. Nie widzi w nim brata, ale widzi tylko u niego ręce do pracy; nie uznaje żadnego innego ognia, co wiąże człowieka z człowiekiem jak wypłatę gotówką. Nawet stosunek męża do żony odłączając może jeden przypadek na sto, jest wypłatą gotówką. Sam język ma formy niewoli pieniądza, bo zamiast mówić: on posiada dziesięć tysięcy, mówi się: on jest wart dziesięć tysięcy. Oświecony Anglik stara się tej chciwości nie okazywać i udaje obojętność na pieniądze. Placi pilnie podatki na ubogich, wnosi składki do instytucji dobroczynnych, ale właściwie przez to, że odrobiny zarobku, który wraz z ciężkim potem wyciskał z uboższego wyrobicy, zwrócił jako dobrowolną ofiarę na jego dobro sądzi, że okupuje sobie prawo, aby się od niego nikt już więcej nie domagał. I w rozmowach mieszczaństwo rozkłada się nad ludzkością, ale to tylko wtedy, kiedy taka rozmowa może się pieniędzy odplacić. Ekonomja polityczna przybiera także postać chytrej tylko rozprawy, aby mieć zarobek i od pięciu lat stara się ona uzasadnić, że zniesienie ustaw zbożowych leży jedynie w interesie wyrobicy. Najważniejszym wypowiedzeniem wojny proletariuszom przez mieszczaństwo jest Malthusa teoria ludności, w której stoi śmiało wyrzeczona zasada, iż szaleństwem byłoby mniemać, że każdy człowiek urodzony ma prawo domagać się, aby mu był podany środek utrzymania się przy życiu; dlatego nie ma przyczyny, aby zbyteczną ludność starać się przemienić na użyteczną, owszem trzeba dopuszczać i starać się, aby niektórzy z głodu sobie umierali, a zapobiegać aby proletariat nie dostarczał społeczeństwu wiele dzieci. To szlachetne pomysły!

„Takie jest położenie ludu angielskiego, powiada Engels, według tego com widział i w urzędowych sprawozdaniach wyczytał i gdy to położenie uważam za najnieznośniejsze, jakie tylko być może, nie sam jeden z tem występuję. Już Gaskell, r. 1833 oświadczył, że wątpi, aby to wszystko na dobrej drodze załatwić się mogło, i przewiduje tylko rewolucję. Carlyle oświadczył w r. 1838, że trudno pojąć, jak przy chartismie i zabiegach rewolucyjnych wywołanych przez nędzę, lud daje się jeszcze mieszczaństwu liberalnemu, tak pozbywać czcymy frazesami, a w r. 1844, do dał, że trzeba natychmiast przedsięwziąć organizację pracy — jeżeli Europa, a przynajmniej Anglija ma jeszcze przez ludzi zamieszkaną pozostać”.

Może zniesienie praw zbożowych jest bardzo bliskie, charta ma dosyć siły do wywołania wielkiej rewolucji. Musi się lud angielski nakoniec zniesierpliwieć tem eksploataowaniem przez kapitalistów, albo jeżeli kapitaliści potrzebować go nie będą, z głodu wyginać. Skoro tylko mieszczaństwo angielskie nie uderzy się w głowę i nie zastanowi — według wszelkich pozorów o tem nie myśli — wntczas musi wybuchnąć rewolucja, z którą żadna dotychczasowa nie będzie się mogła mierzyć. Im bardziej proletariat nasycy się pierwiastkami komunistycznymi i socjalnymi, tembardziej bój będzie się toczył z zemstą i wściekłością, a naturalnie ze smutnym i okropnym krwi rozlewem. Komunizm podług swej dążności stoi ponad klótnią pomiędzy mieszczaństwem i proletariatem; klótnię tę uznaje tylko ze stanowiska historycznego, ale nie pragnie jej na przyszłość, owszem ma on jedyny zamiar tę klótnię zniweczyć.

*) W skróceniu. Patrz „Wies“ Nr 27.

**) Wiejskiego — przyp. Red.



Tadeusz Różewicz
Foto Dorys — Warszawa

Anna Kamieńska

W KRĘGU „NIEPOKOJU” *)

który złożył nogę na nogę
który zogniskował w pierścieniu
wszystkie światła sali
rozdarł nagle jamę ustną...

I t. d. Wiersz „Epileptyk” jest niezmiernie dla tomiku Różewicza charakterystyczny. Rysując obraz starszego mieszczańskiego pana w smokingu, który uległ nagle atakowi choroby — Różewicz wyraża dziwność świata, w którym cywilizowane mieszczańskie formy pękają nagle, aby ukazać pierwotną dzikość człowieczeństwa i metafizyczną tajemniczość przeznaczenia.

Groteska — ujęcie rzeczywistości tak charakterystyczne szczególnie dla prozy satyrycznej XX-lecia, forma katastroficznych koncepcji światopoglądowych — jest Różewiczowi szczególnie bliska, a to w roku wydania książki 1948.

W formy groteski ubiera się powrót a może nawet ucieczka poety w sferę dzieciństwa, wizja życia zagrobowego, obraz okaleczonej przez wojnę młodzieży, krzyk protestu wobec wojny w wierszu „Gałązka oliwna”.

Na pograniczu groteski i okrutnego realizmu, którego odpowiednikiem w prozie są opowiadania Tadeusza Borowskiego, jest poemat „Przystosowanie”, zwłaszcza wiersz II: „Opowiadanie spreparowanej skóry”. Wstrząsający to komentarz liryczny do pozornie beznamiętnej relacji Borowskiego.

Nawet w wierszach, które trudno nazwać groteskami lirycznymi, Różewicz buduje ścianki swej poetyckiej rzeczywistości, swego krajobrazu poetyckiego, ze zdrobniących, umniejszonych rekwizytów, porusza się i każe się poruszać wyobraźni czytelnika w wymiarach zacieśnionych i zwięzłych tak, że nawet impresje liryczne czynią wrażenie świadomą ręką maskicowaną karykatury rzeczywistości. Z tym wszystkim owa liryczna nitka rzucona na motywy satyry, drwiny i groteski — jest bodaj najsłabszą stroną wierszy Różewicza w omawianym tomiku. Potracą niekiedy aż o młodopolską nastrojowość.

Łamana „awangardowa” forma graficzna wierszy Różewicza bodaje nie odpowiada gatunkowi nastrojowego liryzmu, na którym zbudowane są niektóre wiersze. Dotyczy to np. wiersza „Odwiedziny”, w którym blahość analizy psychologicznej osobistej — jak rozumie czytelnik — sytuacji, podkreślona jest jeszcze przez nieco nonszalancką formę zdania prozaicznego. To także stosuje się do nastroju „smutności”, narzucającego się nawet dość częstym nawrotem tak zdewaluowanego w poezji przymiotnika jak „smutny”.

Zdrobniałej wizji świata, która niekiedy uzyskuje większą ekspansję dzięki groteskowemu załamaniu, odpowiada pewien minimalizm ideologiczny wierszy Różewicza. Prawda, są one często wstrząsającym w wymo-

wie protestem przeciwko wojnie, są nosicielami idei „gałązki oliwnej”. Jednak w swej poetyckiej argumentacji ograniczają się do jednego niemal tylko motywu — cierpienia biologicznego i jednej idei — moralnego humanitaryzmu. W wierszu „Powrót” maluje poeta groteskowy obrazek rodziny w wymiarach powszedniego, a w istocie zagrobowego życia. Poeta, który nagle pojawia się wśród rodziny obok matki robiącej w niebie szalik na drutach i ojca drzemającego nad gazetą — męczy się niemożnością dania im odpowiedzi na pytania.

„Nie — przecież nie mogę im powiedzieć że człowiek człowiekowi skacze do gardła”

„Człowiek człowiekowi skacze do gardła” — na tym wyczerpuje się w moralnej interpretacji poety sprawa wojny. Wojna, będąca głównym problemem poezji Różewicza nie skonkretyzowała się w jego systemie poetycko-ideologicznym w innych przejawach np. społeczno-politycznych czy moralnych, w sferze pozytywnej — sprawy walki, oporu, różnych rodzajów poświęcenia i bohaterstwa.

Nie są to zarzuty rezenzenta, lecz próba opisu przez eliminację. Być może, że ten jeden motyw problemu wojennego: „człowiek człowiekowi skacze do gardła” — osiąga dzięki wyjątkowości czystszy i okrutniejszy wyraz w poezji Różewicza, niemniej trudno nie określić go jako **ideologiczny minimalizm**. Łączy się z nim i minimalizm perspektyw pokojowych, do których wyrwa się poeta z „niepokojem” i dochodzi w wierszach z cyklu „Gałązka oliwna”.

„Jestem w ciąży mówisz
będę miał syna mówię
i cieszymy się jak czerwonym
jabłkiem które upadło
w środek
szarego powszedniego...”

„Szare powszednie” czyli rzeczywistość wojenna, codzienność pokoju zaludnia się w wyobraźni Różewicza dość schematycznymi motywami „odbudowy”:

„Opowiem mu o Mahatmie człowieku
który został wniebowzięty
jako kosmyk wonnego dymu
o naszych tkaczach górnikach
i drobnych urzędnikach
którzy budowali dom...”

Wprawdzie wiersze cytowane są tylko końcowymi akcentami pogody wprowadzonymi zapewne ze względów kompozycyjnych, aby całość nie przedstawiała się już nadto pesymistycznie. Lecz wydaje się, że groteskowa miniatura wojny przechodzi tu w niemiłej miniatury światek pokoju, który za chwilę może się znów przekształcić w rodzinną mieszczańską groteskę.

Gdzie szukać przyczyn, dla których najbardziej może utalentowany, wrażliwy i o wyjątkowym poczuciu moralnym poeta najmłodszego pokolenia literackiego — wyraża nie jego siłę lecz słabość — zdawałoby się beznadziejną? Dlaczego trzyma się — inteligentnie wprawdzie podpatrzonych — ale stęplonych narzędzi satyry mieszczańskiej w stosunku do przedmiotu wymagającego jaśniejszego bodaj języka oskarżeń? Dlaczego dopuszcza wynikającą z tego wieloznaczność lub co najmniej niejasność ideologiczną, beznadziejność problemową, a wreszcie wieńczy dzieło nieprzekonującym i zbyt łatwym optymizmem płynącym ze „świata dobrego i pięknego”?

Na te i wiele innych pytań co do ciekawie zapowiadającej się twórczości autora „Niepokojem” nie potrafię odpowiedzieć w ramach tej recenzji.

Tu tylko pragnę jeszcze zwrócić uwagę na sprawę raczej warsztatową, która jest może jedną z przeszkód Różewicza na drodze do „podejmowania i rozwiązywania doniosłej problematyki naszych czasów”. Jest to sprawa zresztą dość ogólna, a dotyczy remanentów poetyki tzw. awangardowej w poezji młodszego pokolenia literackiego. Różewicz zachował ich stosunkowo najwięcej, choć widać w ostatnim tomiku i żywe przejście się poezją francuską ostatnich lat, zwłaszcza Supervielle’a i Eluarda. To, co stał zaczerpnął poeta, łagodzi nieco oschłość poetyki awangardowej. Ale raz przełamana nie wstrzyma już luźnego często potoku skojarzeń, dowolności, relatywizmu. W poezji w założeniu zwięzłej, lakonicznej, jaką była w swoim czasie wzorcowa z pewnością dla Różewicza poezja Przybosa, pojawia się pewne gadulstwo. Wiersz „Wyobraźnia kamieniana” jest cały pełen nawiasów i dygresji, a wiersz „Kopiec” zaczyna się od dowolnego wyliczenia przedmiotów — chwytu niezgodnego z dalszym tokiem jednego z piękniejszych wierszy Różewicza.

„Usypali nad nim kopiec
z przejazdów i odjazdów
z czasu i przestrzeni
z ludzi rzeczy zdarzeń
masła kawy gazet
z zielonych pluszowych albumów
bromu kwiatów
i sztucznego śmiechu...”

Wyliczenie staje się już w niektórych wierszach młodych poetów w czasopismach manierą, zwłaszcza w bliższych lub dalszych naśladownictwach Nerudy. W jego poematach odpowiada ono panteistycznej koncepcji świata, w którym wszystkie rzeczy są w każdej chwili obecne niby pod powierzchnią i gotowe do zmanifestowania się na wezwanie poety.

Z remanentów awangardowych pozostało Różewiczowi oprócz pewnego zbytniego chybienia lekceważenia tradycyjnych rygorów wierszowych i sproszkowania mowy — posługiwanie się metaforą typu wyrażonego żartu poetyckiego. Ten rodzaj metafory, w którym świat rzeczywisty uchwycony zostaje w momencie jakiegoś skrzywienia w wyobraźni, jakiegoś grymasu skojarzeniowego — czyni z niektórych wierszy Różewicza małe obrazkowe igraszki. Np. „Zabawa w konie”:

„Kanarek żółty
jak cytryna
w drucianym koszyku
babcia w czepku
złowiona
w siatkę zmarszczek...”

Dowcip poetycki — „babcia złowiona w siatkę zmarszczek” — ma w podobnym wierszu funkcję zupełnie konstruktywną: czyni poezję z rzeczy niepoetyckiej. Ale ten sam żart w wierszu donioślejszej treści, w wierszu o silniejszej ekspresji uczuciowej — staje się anachronizmem rzeczowym, często psuje i mąci wrażenie całości. Takim dowcipem jest w wierszu „Chora w ogrodzie ozdrowieńcy” — ogródek, który „z koszmami w ramionach frunie z drzewa na drzewo jak anioł w słomkowym kapeluszu”. Takim formalnym dowcipem jest także w najlepszym według mnie wierszu tomiku „Ale kto zobaczy...” słowo „ten” — zawieszony w miejscu najwyższego lirycznego wzniesienia zamiast osobnej zwrotki.

Poetyka tzw. awangardowa wydaje się zbyt ciasna dla tych treści, jakie ma do wypowiedzenia poeta, jakie nasunął mu czas historyczny. Nurt katastroficzny przedwojennego awangardyzmu pozornie tylko nakrył się z motywami wojennej grozy i zagłady. Zbyt wielką była niewspółmierność między obawami a rzeczywistością, przede wszystkim zaś niewspółmierność sensu ideologicznego mieszczańskiego katastrofizmu i czynnego przeżycia wojny. Uczyniło to poetykę awangardową bezradną wobec nowej rzeczywistości, która wymagała od początku języka jednoznacznie ideologicznie, więcej działającego na rozum i poczucie moralne niż bawiącego wyobraźnię, niż wyrażającego subtelne odcienie wrażeń psychicznych.

Dla tych i innych zapewne przyczyn „Czerwona rekawiczka” Różewicza odcinająca się powagą i uczciwością postawy pisarskiej od innych wydanych w bieżącym roku tomików i debiutów poetyckich — pozostaje w sferze pierwszego „niepokojem” twórczego, a język poetycki w tym tomie nie wydaje się jeszcze zdolny do zerwania z moralno-poetycką obsesją Różewicza, wyrażoną najlepiej w małym wierszu na wstępie tomiku:

„Widzę szalonych którzy
chodzili po morzu
wierzyli do końca
i poszli na dno
teraz jeszcze przechylają
moją łódź niepewna
odtrącam te sztywne
dłonie okrutnie żywy
odtrącam rok za rokiem...”

Pierwszy tomik Tadeusza Różewicza „Niepokój” (1947) spotkał się z bardzo życzliwą krytyką, jak żaden w tym okresie debiut poetycki. Wszystkie niemal recenzje wyrażały nadzieje na dalszy rozwój talentu tego poety i nastawiały uwagę na to, co nastąpi po „Niepokojem”. Stefan Lichański w „Twórczości” (styczeń, 1948) w przekonującej recenzji wyrażał nawet opinie, która młodego poe- ta mogła najbardziej ucieszyć, a jednocześnie obciążać odpowiedzialnością, że mianowicie pisarska postawa Różewicza może uczynić go zdolnym do „podjęcia i rozwiązywania doniosłej problematyki naszych czasów”. Nie ma chyba większej i „bliższej ciążą” ambicji poezji współczesnej, a zwłaszcza poezji młodszego pokolenia, jak właśnie podejmować i rozwiązywać problemy naszego czasu.

Zarzuć pod adresem młodszych poetów, że zbyt mało interesują się problematyką formalną literatury, że zbyt mało się na niej znają — zarzuć te chociaż może i słuszne — idą w bok, nie doceniają „niepokojem” i leku małości odczuwanego przez ambitniejszych poetów, niepokojem, który każe im nie- raz zbyt niecierpliwą ręką sięgać po wzory społecznej poezji Majakowskiego, współczesnych poetów sowieckich, czy biblijno-politycznej poezji Pablo Nerudy. „Małość” tkwi oczywiście w ich pojęciu w formalistycznych zabawkach przypisywanych poezji klasycznej lub „awangardowej”.

Różewicz należy do tych poetów, którzy najwyraźniej na awangardzie, ściślej: późniejszej awangardzie krakowskiej z Przybosiem na czele — wyrosli. Wyjątkowo jednak ma on odwagę nie odzignąć się od wzoru. Technika awangardy zaciążyła na graficznym rozłożeniu wierszy Różewicza, na ich obrazowaniu, bo niekoniecznie na wewnętrznych elementach treści, które pochodzą raczej z innego źródła.

To, co krytyka „Twórczości” skłoniło do pokładania tak dużych nadziei w pisarskiej postawie Różewicza, to był niezwykle moralny i zarazem moralistyczny stosunek do spraw minionej wojny. Konfrontacja pamiętanej grozy wojennej i codzienności, która staje się z wolna powszednią, uczuła Różewicza na wszystkie odcienie fałszu i kłamstwa tej codzienności, zapominającej, że wyrasta na gruncie z krwi i krzywdy.

Nowy tom wierszy Różewicza „Czerwona rekawiczka” nie wychodzi poza problematykę moralną „Niepokojem”. Znajdujemy tu zresztą najlepsze poetyckie sformułowania tego problemu jak np. wiersze o matce. „Czerwona rekawiczka” sprawia wrażenie jeszcze silniejszego „niepokojem”, jeszcze większej szarpaniny poety, który spod grozy wojennej pragnie się uwolnić, dla którego wyjście poza tematykę wojny staje się koniecznością, a z drugiej strony wydaje się ciągle okrucieństwem w stosunku do pomordowanych. Nie opuszcza poety bolesny moralizm wobec rzeczywistości aktualnej.

„...jęgomość w egzotycznym stroju
może rozedrzeć zasłone z krwi
(zasłone z której korzystamy
my żywi — niby z parawanu
za którym uzupełniamy
wstydlive braki naszych sumień)...”

Moralizm ten nawiązuje często do dawnych skamandryckich ujęć obsesji codzienności, powszedniości, noszących akcenty antymieszczańskie satyry, pozbawionej zdolności wyjścia poza obraz mieszczańskiego życia. Ta bezradna satyra antymieszczańska ubierała się najczęściej w formy groteski, przedstawiając świat jako małątki światek, gotów w każdej chwili zamienić się w bestię apokaliptyczną i skoczyć do gardła.

Taką groteską na granicy satyry są np. wiersze „Epileptyk” i „Plemnik w spodniach”, który swoim wulgaryzmem, jaki istotnie przestał już epatować kogokolwiek, wywołał drażliwą i rozdrażnioną dyskusję, zanim tomik Różewicza doczekał się uczciwej oceny krytycznej, na jaką zasługuje.

„Ten pan w białym półkoszulku
tak poprawnie narysowany
sztywną twardą kreską

*) Tadeusz Różewicz. Czerwona rekawiczka. Spółdz. Wydawn. „Książka”, 1948.

Lesław M. Bartelski

Aby mnie poznać — musisz wrócić
do stron tych, z których ja wyszedłem,
nim odnalazłem świat. Każdy ma swoje
dalekie i ukryte jak bruzda w dłoni
nieznane innym — życie. Tam jest przystań
mych lat młodzięcych, tam jest kraj,
który kolyśał moją młodość.

Uredzony u płomienia — jakżeby mógł iść
nie inaczej jak z płomieniem w garści?
Ruch międzyplanetarny gwiazd był mi
objawieniem — smak wrzuseń, które
chciałem sięgnąć ręką lub oddać,
odtworzyć jak pomnik piórem.

Zapomniałem o ziemi, zapatrzony w gwiazdy,
które mi nijaki gotowały los.
Aż przyszedł ogień i życie pochłonął,
jam nie z krwi żywej wtedy był, ani z kamienia —
nad wieczorem, sięgnął po drodze gwiazd
uciekłem, gdzie u źródeł nocy szukano
ucieczki z przerażenia.
A potem sam wtrącony w ogień
szukałem swego domu:

łopian rósł i cegła na cegle.

Śpiewałem kłękę, nie widząc, że koło mnie
spoceni upałem lata wapno rozcierały w skrzyni,
mieszając je z wodą. Skrzybiały dźwigi.
Wyładowano z samochodów cement, rosła cegła przy cegle.
Znoszono deski na rusztowania.
Chciałem być poetą ruin. Sypki kształt
ma dom do fundamentów zrujnowany,
lecz nieś go w górę, czytał z planów —
było za trudne dla mnie.
Dziś wiem — widziałem swoją kłękę.

Zanadto wierzyłem w niebo,
ręce wnosząc jak czuby sosen,
miałem lzy na palcach: obcierałem oczy,
a z daleka płynął wodą plusk tętniących wiosel,
a z daleka łody robotników niosły,
szły marmury Wisłą na nadbrzeża,
mieszano beton i stal,
i nowe miasto rosło.

I wtedy rozumiałem — wszelkie prawdy
zawarte w książkach oraz w naszych czynach,
są te, które przynosi wolny człowiek.
Kto czyta — nie każdy rozumie.
Nie każdy, kto rozumie — wierzy.
Aby iść naprzód, nie cofać się w tył,
trzeba mieć wiarę podobną żołnierzom,
wykutym ze stalowych brył.

I uwierzyłem — człowiek w człowieka.
I jestem wolny. Oto moje credo.

Z tomu „Patrol między murami”, który ukaże się niebawem nakładem Spółdzielni Wydawniczej „Książka i Wiedza”.

JAKIEGO MICKIE

ZASŁUGI PRZESZŁOŚCI

Pamiętnik Literacki, organ Towarzystwa Literackiego im. A. Mickiewicza, ma za sobą długą, pracowitą i pełną zasług drogę, na której prześledzić można jednocześnie dokładnie dzieje polskiej nauki o literaturze od przeszło pół wieku, czyli prawie od jej początku. Bo też wydawany od r. 1887 „Pamiętnik” (początkowo pod tytułem „Pamiętnik Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza”) był pierwszym u nas czasopiśmie naukowym historyczno-literackim, poświęconym w pierwszym okresie wyłącznie sprawom wiedzy o Mickiewiczu (pierwszych sześć roczników, tzw. Pamiętnik Mickiewiczowski), ale skupiającym już wówczas niemal wszystkich polskich pracowników naukowych, rozrzuconych częstokroć po wielu miastach Europy (Brückner, Spasowicz, Nehring). Od r. 1902 „Pamiętnik” rozszerza swój zakres na całość historii literatury polskiej, stawiając sobie jako cel: „wydobywać z zapomnienia, wyjaśniać historycznie, rozstrząsać krytycznie zjawiska nieznanne i mało znane, dochodzić związku prawd i okoliczności literatury polskiej z piśmiennictwem powszechnym, przedstawiać, rozbiierać, stosować nowe kierunki i metody historii i krytyki literackiej”. Tak rozszerzony „Pamiętnik” trwa do r. 1939 i obejmuje łącznie z „Pamiętnikiem Mickiewiczowskim” 41 obszernych tomów-roczników. W zakresie postulatów i ambicji stosowania nowych kierunków i metod historii i krytyki literackiej, możemy, jak to już było powiedziane, dość dokładnie prześledzić na przykładzie „Pamiętnika” drogę polskiej nauki o literaturze od jej stosunkowo postępowej funkcji w okresie pozytywizmu do chaosu metodologicz-

Wanda Leopoldowa

PAMIĘTNIK CZY LAMUS? *)

nego różnych odmian reakcyjnej ideologii pod koniec dwudziestolecia. „Pamiętnik Literacki” był już zresztą wtedy niemal wyłącznie organem „oficjalnej”, uniwersyteckiej nauki. Drugie zadanie natomiast, polegające na wydobywaniu z zapomnienia lub ukazywaniu nieznanych dokumentów literackich, stanowi do dziś trwałą zasługę „Pamiętnika”. Gromadzone przez lata „Notatki”, „Materiały” i „Bibliografia” dotychczas często niewyżyskane w monografiach (por. np. ołbrzymie Krasiejca Bernackiego) stanowią do dziś cenne źródło informacji dla każdego polonisty. W zakresie wiedzy o Mickiewiczu ten typ zasług jest również niewątpliwy. Wydana w r. 1948 przez Towarzystwo Literackie im. A. Mickiewicza, „Bibliografia Pamiętnika Literackiego” pod hasłem „Mickiewicz” zawiera dwanaście stron wypełnionych przeważnie tytułami zaczynającymi się od słowa „nieznany”: „Nieznany dokument...”, „Nieznana relacja...”, „Nieznane autografy” itd. Warto też przypomnieć, że właśnie Towarzystwo Literackie im. A. Mickiewicza podjęło pierwsze w Polsce krytyczne wydanie pism poety, niestety nie ukończone.

Po przerwie wojennej 1939—1945 wydawanie „Pamiętnika” wznowiono, a idąc po linii tradycji pisma—kultu Mickiewicza, który stał się bodźcem do założenia pisma, uczczono Rok Mickiewiczowski w wyzwolonej Polsce. Wydaniami okazałego rocznika (XXXVIII), poświęconego w całości Mickiewiczowi. Rocznik ten zawiera imponującą ilość 10-u rozpraw

oraz, jak zwykle, działy podręczne: Notatki, Materiały, Bibliografia, Recenzje i przeglądy. I otóż okazało się, tym razem zapewne wbrew intencjom redakcji, że i inna tradycja „Pamiętnika” została zachowana: prawdziwie cenne rzeczy znajdujemy właśnie w owych podrzędnych działach. M. in. opublikowano bibliografię mickiewiczianów w czasopiśmie polskich 1944—1947, omówienia przekładów Mickiewicza (przeważnie nowych) na język rosyjski, serbski, angielski i szwedzki (w działach rozpraw omówienie przekładów czeskich przez M. Szyjkowskiego), sprawozdanie p.t. „Kult Adama Mickiewicza we Lwowie w latach 1939—1941”, interesujące „Drobizgi mickiewiczowskie” W. Borowego — glosy edytorskie do przygotowanych przez autora do „Wydania Narodowego” „Wierszy różnych” itd. Dwie trzecie tomu (tj. ok. 400 stron) zajmują jednak rozprawy; one decydować miały o jego ważkości i charakterze; — istotnie — należy im się baczniejsza uwaga.

CHÓR „SŁOWICZKÓW”

Czytelnicy czasopism literackich pamiętają zapewne niedawną recenzję Stefana Żółkiewskiego w „Kuźnicy” z książki Tadeusza Filipa o Norwidowym „Fortepianie Szopena” pt. „Nowy słowiczek”. Żółkiewski na karykaturalnym wprost przykładzie tej książki gromi raz jeszcze zwyrodniałą „uczoność”, pseudonaukowość uniwersyteckiej burżuazyjnej nauki o literaturze. Tytuł nawiązuje do twi-

mowskiej parodii komentarza polonistycznego.

Mickiewiczowską „Pamiętnik Literacki” do starca sporej garści podobnych przykładów bezmyślnego błakania się po literaturze w masce „naukowości”, prowadzącego w rezultacie w ślepe uliczki formalizmu, wpływo- gii dla wpływo- gii, mistycyzmu czy w naj- lepszym razie przyczynkarstwa.

Rozprawa Zygmunta Sitnickiego „Mickiewicz a Dante” to 38 stron maniackalnej i czę- ziej wpływo- gii, robionej metodą najprymityw- niejszych zestawień. Wygląda to w ten spo- sób: mamy zdanie z „Dziadów” — „Tutaj na wzgórkach Russa czytaliśmy razem” — Paolo i Francuska również czytali razem (jaka szkoda, że nie mogli czytać Russa); „oczywi- sty” wpływ. Zdanie z „Konrada Wallenroda”: — „Gdzież jestem — wołał — tu słycał na- dzieje?” — to znów „oczywisty” wpływ na- pisu na bramie piekielnej. Warto posłuchać dalszego ciągu wywodów o „Konradzie Wal- lenrodzie”: „Nie zawadzi poza tym nadmie- nić, iż w koncepcji autora Wielki Mistrz ma mieć lat trzydzieści kilka, czyli że znajduje się on właśnie w dantejskiej połowie drogi żywota naszego”. Dalej następuje „rewela- cyjny” wniosek: „Jednakże — mimo wykaza- nego w ten sposób podobieństwa — należy znowu stwierdzić, iż treść „Konrada Wallen- roda” świadczy, że jego autor w dalszym cią- gu nie uznaje dantejskiego systemu kar po- śmiertnych...” Przykłady takie można cyto- wać z każdej strony. Po prostu — stanowią one treść rozprawy. Nie mogę oprzeć się po- kusie zacytowania jej wniosku końcowego. Autor mianowicie przypisuje swojej pracy doniosłe znaczenie. Jakie są powody? Posłu- chajmy: „Jak wiadomo Dante (podobnie jak Homer czy Szekspir) jest twórcą uniwersal- nym, tzn. powszechnie znanym i zrozumiałym, podczas gdy Mickiewicz stopniowo i powoli zdobywa sobie znaczenie pisarza ogólnolud- zkiego. Nie ulega zatem wątpliwości, że wy- kazanie pokrewieństw zachodzących między dorobkiem artystycznym naszego poety a tak- kimże dorobkiem Alighieriego, może się wal- nie przyczynić do większego zainteresowania arcydziełami Mickiewicza wśród obcych, a tym samym do stopniowego uznania go za twórcę uniwersalnego. W ten sposób dzieło literackie największego polskiego wieszca- narodowego może się stać istną arką przy- mierza między Polską a innymi narodami w dziedzinie pokojowej współpracy kultural- nej”.

Czyż doprawdy poeta narodowy staje się własnością i innych narodów dlatego, że był pod wpływem wielkiego, obcego poety? Czyż naprawdę określenie stosunku do tradycji li- terackiej polega na wskazaniu faktu, iż dwaj poeci używali tych samych wyrazów? W ten sposób — jak mówi autor — nie tylko nie „przyczyniamy się do większego zaintereso- wania arcydziełami Mickiewicza wśród ob- cych”, ale ośmieszamy i naukę i poezję!

Studium Tadeusza Dworaka (przypis głosi, że to fragment większej pracy pod tym samym tytułem) „Analiza porównań w „Panu Tade- uszu” to inny przykład bezmyślnej manii ze- stawiania, która ma zastąpić naukę. Na pra- cę tę składa się kolosalne nagromadzenie ta- blic statystycznych i klasyfikacji, z których dowiadujemy się np., że łącznik porównaw- czy „jak” występuje w „Panu Tadeuszu” 285 razy, że „ze względu na odmiany łącznika na- liczyliśmy 15 rodzajów (i 5 mniej ważnych odcieni porównań, prócz tego 9 rodzajów form o charakterze złożonym...”, dalej, że po- równania możemy podzielić na „potoczne i ar- tystyczne” (co to w ogóle znaczy bez uwzględ- nienia ich funkcji?), lub też na „porówna- nia proste, złożone i wielokrotne”, albo jesz- cze inaczej, na „porównania samotne i rodzi- ny porównań”, przy czym dowiadujemy się jeszcze marginesowo, że: „Porównania two- rzące rodzinę, miewają to samo, co samotne uzasadnienie psychologiczne”. Wystarczy? To wszystko na 33-ech stronach. Ale to przecież „fragment”!

Rozprawa Czesława Zgorzelskiego „O pierwszych balladach Mickiewicza” powsta- ła, jak mówi autor, na skutek inspiracji wy- kładów prof. Konrada Górskiego. Autor zaj- muje się stosunkiem Ballad do tradycji kla- sycystycznej, pojętym jako stosunek „balla- dy” do osiemnastowiecznej „dumy” i posłu- guje się znów metodą zestawienia: ilości in- wersji, analizy budowy stroficznej, ilości i odmian epitetów itd. Zgorzelskiemu chodzi o pokazanie „ewolucji techniki poetyckiej”, wiodącej do ustalenia gatunku „ballady ro- mantycznej”. Ta ślepa uliczka formalizmu prowadzi nas z kolei przez 78 stron.

„Takie widzi światła koło Jakie tępnymi zakresła oczy”.

Pozostałe rozprawy trudno omawiać indy- widualnie z braku miejsca. Wybrałam przy- kłady najjaskrawsze. Na marginesie też tyl- ko zaznaczyć należy, iż wątpliwą przysługę oddała redakcja zmarłemu prof. Stanisławowi Łempickiemu, publikując pośmiertnie jego napisaną w roku 1928 rozprawę pt. „Tak zwany „Heinrich” w autografie Ks- g Piel- grzymstwa Polskiego” — jeszcze jedną pró- bę wynalezienia jeszcze jednego wpływu je- szcze jednego mistyka na Mickiewicza. Resz- tę rozpraw, mimo oczywiście znacznych róż- nic indywidualnych, znamionują pewne wspólne cechy. Uderza mianowicie **jałowość i pozerność problematyki**, płynące z niedo- strzegania kluczowych dla nauki o literatu- rze zagadnień. Przede wszystkim chodzi tu

*) Patrz „Wies” nr 27: W. Leopoldowa — O nauce i prawdę.

Wydanie Narodowe Dzieł Adama Mickiewicza

Uchwała

powzięta na 7 posiedzeniu Krajowej Rady Narodowej w dniu 5 maja 1945
w sprawie
Narodowego Wydania Dzieł Adama Mickiewicza.

•

Krajowa Rada Narodowa, przejmując nie zrealizowaną inicjatywę Sejmu Ustawodawczego z 1920 roku w sprawie zbiorowego wydania dzieł Adama Mickiewicza, w pełni doceniając wielką rolę twórczej myśli wielkiego poety polskiego i słowiańskiego dla kultury narodowej

w Odrodzonej Polsce
postanawia

pod Wysokim Protektoratem Prezydenta Krajowej Rady Narodowej

BOLESŁAWA BIERUTA

zrealizować to pomnikowe wydawnictwo pod nazwą
Wydanie Narodowe Dzieł Adama Mickiewicza,
aby dostarczyć całemu społeczeństwu autentycznych tekstów poety
we wzorowym opracowaniu krytycznym i typograficznym.

—

Krajowa Rada Narodowa poleca Radzie Ministrów wyznaczyć na ten cel odpowiedni fundusz i przekazać tę uchwałę do wykonania Ministerstwu Kultury i Sztuki.

Realizację Wydania Narodowego Dzieł Adama Mickiewicza na mocy uchwały Krajowej Rady Narodowej z dnia 5 maja 1945 podjęło Ministerstwo Kultury i Sztuki.

—

Teksty wydania opracowano staraniem Komitetu Redakcyjnego pod przewodnictwem
Leona Płoszewskiego.

—

Wykonanie powierzono Spółdzielni Wydawniczo-Oświatowej
„Czytelnik”.

Tekst uchwały KRN w sprawie Narodowego Wydania Dzieł Mickiewicza

Jeszcze w nieostyglą żarze wojny, w na- wale najpilniejszych spraw i potrzeb od- budowującego się państwa, na 7 posie- dzeniu Krajowej Rady Narodowej, w dniu 5 maja 1949 postanowiono: „doceniając wielką rolę twórczej myśli wielkiego poety polskiego i słowiańskiego dla kultury w Odro- dzonej Polsce”, zrealizować wydanie wszyst- kich pism Mickiewicza aby „dostarczyć całemu społeczeństwu autentycznych tekstów poety we wzorowym opracowaniu krytycz- nym i typograficznym”.

Uchwała ta nawiązuje do inicjatywy Sej- mu Ustawodawczego z r. 1920 w sprawie cał- kowitego wydania pism poety. Wydanie to, znane jako Wydanie Sejmowe, zostało istot- nie podjęte, ale do r. 1939 nie zostało w pełni zrealizowane. W ciągu 19 lat otrzymywa- liśmy w długich odstępach czasu poszczegól- ne tomy, nie stanowiące nawet w mniej- szych zakresach całości: otrzymaliśmy część poezji, część wykładów, część korespondencji.

Dziś, w niespełna cztery lata od uchwały K. R. N., mimo trudności pierwszego okresu w budowaniu Polski Ludowej, otrzymaliśmy już pierwszą serię dzieł Mickiewicza — czte- ry tomy obejmujące całość twórczości poe- tyckiej.

Te cztery piękne tomy słusznie i chlubnie noszą miano Wydania Narodowego. Nie tyl- ko dlatego, że realizację ich wyznaczyło przedstawicielstwo narodu polskiego. Ale również dlatego, że realizacja ta dała nam wydanie o zasięgu powszechnym. Wydanie to jest bowiem równie cenne dla najbardziej wytrawnego filologa jak dla zwykłego mił- ośnika poezji, dla ucznia i dla profesora, dla

wszystkich ludzi, dla których w Polsce Lu- dowej kultura narodowa staje się coraz szer- szym udziałem i własnością. Układ każdego tomu pomyślany jest w ten sposób, że w czę- ści pierwszej otrzymaliśmy tekst utworów (najpierw utwory wydane za życia poety, po- tem pośmiertne; od zasady tej odstąpiono ze zrozumiałych względów jedynie przy „Dzia- dach”), w części drugiej zaś uwagi o tekstach i objaśnienia wydawców. Uwagi o tekstach podają źródła, na których tekst oparto oraz odnotowują wprowadzone poprawki w sto- sunku do wydań poprzednich. Wyzyskano tu cały dotychczasowy dorobek filologiczny, a w stosunku do utworów ogłoszonych po śmierci poety podjęto trud odczytania raz jeszcze do- stępnych autografów. Stąd szczególnie w to- mie „Wiersze” znajdujemy znaczną ilość drobnych na pozór lecz istotnych różnic (o- mówionych częściowo przez W. Borowego w artykule „Drobizgi mickiewiczowskie”. Pa- miętnik Literacki 38, 1948). Dzięki tym stara- niom otrzymaliśmy możliwie najpoprawniej- sze, najbardziej autentyczne teksty utworów wraz ze zwięzłym aparatem informacyjnym, pozwalającym badaczowi i bibliografowi prześledzić historię tekstu. Druga część do- datku — „Objaśnienia wydawcy” — zawiera krótkie informacje dotyczące dat, nazwisk, czasu powstania utworów, tłumaczenie trud- niejszych wyrazów obcych, archaizmów i prowincjonalizmów — jednym słowem zwię- zły komentarz, przeznaczony dla czytelnika zapoznającego się dopiero gruntownie z twórczością poety. Taki układ tomu zapewnia wszechstronność wykorzystania. Tom pierw- szy zawiera ponadto jasne a wyczerpujące uwagi dotyczące zasad edytorskich wydania

(pisowni, układu itd.). W obrębie serii zasto- sowano podział na tomy wg rodzajów literac- kich. Tak więc tom I zawiera „Wiersze”, tom II — „Powieści poetyckie”, tom III — „Utwory dramatyczne”, wreszcie tom IV to „Pan Tadeusz”. Niezwykle trudne zadanie napisania syntetycznej przedmowy do całości wykonał z pietyzmem i żarliwością Julian Przyboś.

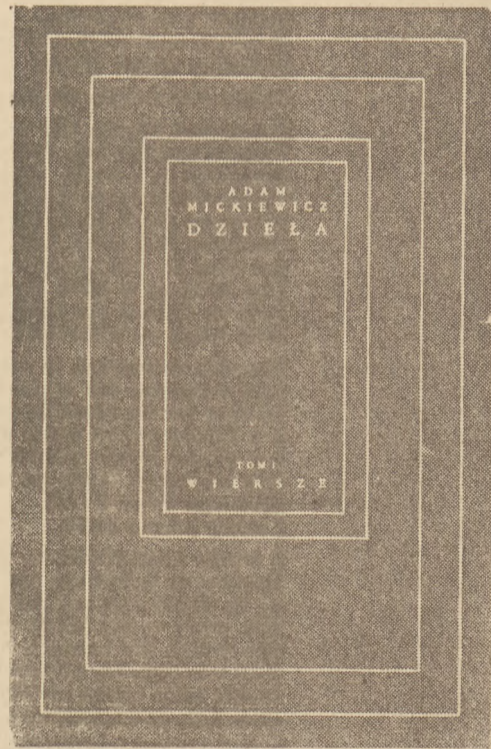
Szata graficzna „Wydania” budzi zachwyt. „Jaki papier! jaka cionka!” — to pierwsze zdania, które wykrzykuje czytelnik dostając owe tomy do ręki. Dodatkowo każdy tom za- wiera na wstępie podobiznę Mickiewicza — I — młodzieńczy portret Wańkowicza, II — portret pędzla Oleszkiewicza z czasów poby- tu w Rosji, III — sztych Oleszczyńskiego wg medalionu Dawida d'Angers, IV — fotografię popiersia marmurowego Dawida d'Angers.

I wreszcie sprawa ostatnia, choć nie naj- błaższa: te cztery tomy tak wspaniale wy- dane kosztują 800 złotych. To chyba nie wy- maga komentarzy.

Doczekaliśmy się. Doczekaliśmy się praw- dziwie narodowego wydania poezji Tego, który stale zapatrzonej w wolną przyszłość ludów, zostawił narodowi swojemu dzieło o „wewnętrzny ogień”, nie wyzębionym nie tylko przez sto lat, ale i więcej, dzieło, do którego sięgamy wszyscy po mądrość i pię- kno.

Wydanie Narodowe Mickiewicza to jeden z najradośniejszych momentów w zakresie o- siągnięć kulturalnych Polski Ludowej. Wier- zymy, że tym razem otrzymamy szybko ca- łość pism — zapowiedziane dalsze serie, o- obejmujące pisma Mickiewicza publicysty i działacza, bez których niemożliwe jest pełne ogarnięcie i zrozumienie całej jego wielkości. Czekamy z niecierpliwością, by je dołączyć do pism poety.

W. L.



Okładka tomu I Wydania Narodowego Dzieł Adama Mickiewicza

W I C Z A Z N A M Y ?

o sprawy genezy społecznej dzieła literackiego oraz jego funkcji klasowej. Oto zagadnienia przesądające o istotnie historycznym ujmowaniu zjawisk literackich. Bez ukazania konkretnych związków przyczynowych, bez określenia rzeczywistej funkcji utworów w danym okresie historycznym, obracamy się w sztucznie wyabstrahowanym świecie, nie mającym żadnego odpowiednika w rzeczywistych stosunkach ludzkich; w świecie, w którym „historia” ogranicza się do chronologicznego ustawiania i przesuwania martwych tekstów, według dowolnych kryteriów badacza. W ten sposób ujmowane zagadnienia obracać się muszą z natury rzeczy w kręgu problematyki pozornej. W najlepszym razie rozpatruje się sprawy drugorzędne.

Ta ciasnota widzenia historycznego — żeby nie powiedzieć ahistoryczny punkt widzenia — ciąży w mniejszym lub większym

stopniu na takich rozprawach „Pamiętnika Literackiego”, jak: Zofii Szydłowej „Czynnik gawędowe w twórczości Mickiewicza”, Konrada Górskiego „Uwagi nad Grażyną”, Wacława Borowego „Mickiewicz w szkole klasycznej”. Na tym tle najciekawiej zarysowuje się rozprawa Juliana Krzyżanowskiego pt. „Wielkość i oryginalność Pana Tadeusza”, próbująca wprawdzie dać interpretację zjawisk w duchu tradycyjnej „socjologii literatury”, ale jedyna w tomie traktująca szerzej nieco zagadnienia historyczno-literackie.

W rezultacie jednak, nad całym tomem poświęconym Mickiewiczowi chciałoby się położyć motto właśnie z Mickiewicza:

„Niechaj, kogo wiek zamroczy
Chyłac ku ziemi poradłone czoło
Takie widzi świata koło
Jakie tępymi zakreśla oczy”.

PAMIĘTNIK CZY LAMUS?

„Pamiętnik Literacki” jest po wojnie jedynym w Polsce naukowym czasopiśmie historyczno-literackim. („Polonistyka” poświęcona jest przede wszystkim dydaktyce historii literatury i języka polskiego, i nastawiona na bieżącą pomoc nauczycielowi). Konieczność wydawania pisma naukowego, zajmującego się zagadnieniami historyczno-literackimi, nie może budzić wątpliwości. Pod warunkiem, że czasopismo to będzie istotnie czasopiśmie naukowym. Warto też zachować dla niego tradycyjny tytuł „Pamiętnik Literacki” — znowu pod jednym warunkiem: że będzie to przynajmniej „pamiętnik”, a nie... lamus. Lamus — czyli miejsce, w którym zgromadzone są bezładnie stare i nieprzydatne rzeczy. A tak właśnie

wygląda niestety ostatni tom „Pamiętnika Literackiego”.

Nie chcemy „upamiętniania” złych nawyków metodologicznych w polskiej nauce o literaturze! Pamiętamy je dokładnie. Nie chcemy gromadzenia jeszcze większego balastu jałowych rozpraw i komentarzy, z których nic nie wynika. Pokazać, wyjaśnić, a tym samym „upamiętnić” trzeba jeszcze bardzo wiele w historii literatury polskiej. I temu celowi winno służyć naukowe czasopismo historyczno-literackie. Czasopismo nie spod znaku resztek obumierającej burżuazyjnej wiedzy o literaturze, której nieporadność i fałszywość obserwujemy często jak niezamierzona parodię, ale czasopismo o wyraźnie sprecyzowanej postawie badawczej — naukowej, wynikającej z założeń materializmu historycznego.

Krzysztof Wysławski

METODA PSYCHOLOGICZNA

I.
Czytając ostatnią monografię prof. Kleinera pt. „Adam Mickiewicz” niejednokrotnie zastanawiałem się, do jakiej dyscypliny naukowej zaliczyć to dzieło, jeżeli za wyróżnik przyjmujemy przedmiot, o którym traktuje. I przyznaję się — byłem w niemałym kłopotcie. Pierwszą stronice „Adama Mickiewicza” można by na dobrą sprawę włączyć do jakiejś rozprawki geograficznej, uwagi zaś o fizycznej konstytucji poety, np. o jego wzroście, stanowiłyby być może cenny fakt przy uzasadnianiu jakiejś hipotezy z dziedziny anatomii porównawczej, wreszcie refleksje na temat charakteru rodziców twórcy „Dziadów” to znowu materiał, który nadaje się do wykorzystania przez kogoś zajmującego się psychologią eksperymentalną. Mimo to trudności można jednak wysledzić dwa zasadnicze przedmioty badań prof. Kleinera. Pierwszy — stanowią konkretnie dzieła literackie wraz z ich genetycznym uwarunkowaniem, drugi — to po prostu dzieje człowieka, odnotowywane nawet wówczas, gdy nie tłumaczy się nimi utworów. Tym samym mamy wypowiedź raz z zakresu historii, raz z zakresu historii sztuki, a ściślej — literatury. Zresztą możemy z całym powodzeniem uważać to za jedną z cech szczególnych większości opracowań monograficznych. Profesor Kleiner jest tu najzupełniej usprawiedliwiony, chociażby przez fakt, że w obu wypadkach jesteśmy na gruncie nauk jednego typu, czego nie da się z kolei powiedzieć o tych wszystkich fragmentach pracy, które zajmują się topografią Zaosia, czy też „żywym, chłonnym umysłem, Mikołaja Mickiewicza. Rozważania takie, zgadzamy się w tym miejscu chyba wszyscy, wykraczają poza granice dzieła, traktującego o literaturze, po prostu są zbyt czyste.

II.

Praca prof. Kleinera nie jest osamotniona w polskiej historii literatury. Wprost przeciwnie, otacza ją mnóstwo dzieł podobnego gatunku, może mniej erudycyjnych, może mniej dokładnych, ale metodologicznie takich samych. Niedaleko tu bowiem do dwutomowej monografii prof. Kallenbacha, dotyczącej także Mickiewicza, niedaleko do osiągnięć prof. Pigionia, czy prof. Eugeniusza Kucharskiego. Oczywiście, są różnice dat wydania, oczywiście są jakieś specyficzne cechy każdego z tych dzieł, ale za każdym razem mamy do czynienia z tą praktyką naukową, a przynajmniej z postępowaniem pretendującym do takiego miana, która zaczęła dochodzić do głosu na katedrach polonistyki już w początkach XX w. Miała wielkie powodzenie, wielki poklask, tak że dziś jesteśmy w stanie wskazać jeszcze na całą bibliotekę wypełnioną cięszymi i grubszymi rozprawami piszanymi w myśl jej wskazań. Można by tu rzucić rozległy rejestr nazwisk autorskich i jeszcze rozleglejszy spis tytułów. Toteż sprawa „Adama Mickiewicza” prof. Kleinera to nie jest sprawa jednej książki, to sprawa wielu tomów. Ale jak wygląda ta metoda, której uzasadnienia doszukiwać się należy w niezwykle rozróżnieniu reguł metodologicznych dokonanych przede wszystkim przez Wilhelma Diltheya?

Dlaczego praca prof. Juliusza Kleinera stanowi jedną z ofiar diltheyowskiego i nie tylko diltheyowskiego stanowiska metodologicznego, ofiarę szczególnie przykrą, jeśli się zważy zaś o wiadomości skrupulatnie zebranych przez znanego historyka polskiej literatury?

W jaki sposób prof. Kleiner bada dowolny utwór? Zaczniemy od fragmentu, w którym ustala genetyczne związki, w którym wyjaśnia racje, powodujące narodziny badanego dzieła literackiego. Oto np. urywek z interpretacji IV części „Dziadów”.

„Najprostszą byłaby myśl, że działał względem cenzury, że zarzut niemoralności odeprzeć miało stwierdzenie celu dydaktycznego. Ale właśnie obrona uczciwości napół pogańskiej, przeciw stanowisku duchowieństwa, mogła urazić cenzurę, nie mówiąc już o wierzących na temat głupiego cenzora, które wiadomości pisane były za urzędowania Lelewela, albo pozostawione bez zmiany w przesławieniu, że Lelewel nie może stosować

do siebie owej inwektywy. Więc nie cenzurę chciał Mickiewicz ułagodzić i uspokoić, lecz kogo innego, kto mógłby się czuć dotkniętym — Maryle. To przypuszczenie zmieni się w pewność wobec torów, na jakie wstępuje, w ciągu dalszym „godzina przestrogi”.

A dalej... w drugim np. tomie monografii znajdziemy obfity inwentarz przyczyn powstania „Pana Tadeusza”. „Poemat zrodził się z tęsknoty i z miłującej pamięci. Żywotność i trwałość niezniszczalna tego co minęło, niejednokrotnie ciążyła nad Mickiewiczem — groza przeznaczenia, stała się źródłem błogosławieństwa. Z tęsknoty wyrósł „Pan Tadeusz” — z typowej romantycznej postawy duchowej. Ale nie zwracała się ona ku sferom wyższonim, wymarzonim, budowanym przez pragnienie, żal i fantazję. Światem, ku któremu rwie się tęsknie dusza poety, jest to, co było kiedyś dla niego najbardziej realne i co wraca do niego w prawdzie konkretności, rzeczowości bezwzględnej”. Dzieło literackie stanowi więc „wyraz” przeżyć psychicznych poety, jest nimi całkowicie zdeteminowane w swym wyglądzie. Powstaje z „żału”, z „tęsknoty”, z marzeń pisarza będąc tym samym jakimś psychologicznym dokumentem. Gdyby Mickiewicz nie kochał Maryli, nie mielibyśmy IV części „Dziadów”, gdyby nie przeżywał przygód erotycznych w Odessie — nie powstałyby nigdy jego sonety, gdyby, na koniec, nie tęsknił za krajem lat dziecińczych na emigracji — nie czytaliibyśmy dzisiaj „Pana Tadeusza”. Mówił to już prof. Kallenbach, mówiło to już dziesiątki historyków literatury na grubo przed wydaniem pracy prof. Kleinera. Ale to, że metoda powstała wiele lat temu, jeszcze by jej nie dyskredytowało. Uczynić to dopiero może dokładne zbadanie wartości hipotez, jakie możemy na jej podstawie skonstruować. A te wyglądają na pierwszy rzut oka budząco. Niestety tylko na pierwszy rzut oka. Bo jak możemy je sprawdzić? Skąd otrzymujemy dane o przeżyciach Mickiewicza? Tak wyglądałby podstawowy nasz i, jak sądzę, zabójczy zarzut. Bo cóż z tego, że mamy listy poety, w których zwraca się on z własnych „stanów duchowych”. Są, ale na jakiej podstawie zakładamy wiarygodność a nawet prawdziwość owych zwierzeń? Mamy relacje osób postronnych zawarte w korespondencji, w pamiętnikach. Ale w oparciu o co uznajemy słuszność, trafność poczynionych tam spostrzeżeń? Nie są one nawet ze sobą zgodne, co zresztą nie wystarczałoby do całkowitego ich uznania. Częstokroć mamy do czynienia ze sprzecznymi osądami dwu różnych ludzi. Prof. Kleiner sam zresztą podaje w swym dziele liczne wypadki takiej kolizji. Jako przykład możemy przytoczyć refleksje odnośnie stosunku Mickiewicza do pani Kowalskiej, refleksje dokonane przez Czeczota i Odyńca. Wybór jest najzupełniej dowolny. Możemy przyjąć to, możemy przyjąć z równym powodzeniem tamto.

Tak więc uznajemy „na wiarę” wypowiedzi samego pisarza, wypowiedzi osób postronnych i z tego dopiero materiału, za którego zgodność z faktycznym stanem rzeczy nikt nie może ręczyć, tworzymy hipotezę związku przyczynowo-skutkowego między przeżyciem a dziełem. Prowadzi to do wielu innych, nierozstrzygalnych komplikacji, których podawać tu nie ma potrzeby. Pierwsze bowiem zastrzeżenie uderza w metodę psychologiczną (tak można by nazwać metodę prof. Kleinera) w sposób dostateczny. Ustalać bowiem związek przyczynowo-skutkowy między dwoma faktami możemy dopiero wówczas, gdy ich pojawienie się zostało przez nas doświadczalnie stwierdzone. A tego warunku cała niemalże genetyka prof. Kleinera nie spełnia. Przeciwnie, metoda psychologiczna żyje prawem błędnego koła: ze skutku (faktu literackiego) domyślają się przyczyny (faktu z życia autora) i z kolei przyczyną (hipotetycznie wysnutą) wyjaśniają skutek (w heterogenicznej sferze faktu literackiego). „Na człowieka pełnego sam się (Adam Mickiewicz — przyp. mój A. W.) wychował; rodzice nie wskazali mu drogi. Za to dali mu jasną, pogodną, wolną od metów i rozdźwięków atmosferę dzieciństwa — skarb, którego nie w życiu nie zniszczy. Im to zawdzięczał owe lata „sielskie — anielskie”, w których „rzadko płakał, a nigdy nie zgrzytał”, oni sprawili, że barwy

używała tym latom głęboka, prawdziwa serdeczność. Dom pogodny był ośrodkiem pogodnego świata, „który w cudzie prostoty malować się będzie tęsknym oczom wygnañca.

Kraj lat dziecińczych! On zawsze zostanie Święty i czysty jak pierwsze kochanie.
Ten kraj szczęśliwy, ubogi i ciasny,
Jak świat jest boży, tak on był nasz
własny!”

Raz jeszcze powtórzmy — oto badacz, traktując dzieło jako dokument psychologiczny, odtwarza na jego podstawie przeżycia poety, gdzieindziej zaś tymi przeżyciami tłumaczył będzie powstanie tego właśnie dzieła. Jest to klasyczne błędne koło. Oto skutki nieodpowiedzialności metodologicznej, która zrodziwszy się u Diltheya i Xenopola prowadzi nieodwrotnie do podobnych wyników. Trzeba sobie przypomnieć rozróżnianie poznania przyrodniczego i humanistycznego, dokonane przez Wilhelma Diltheya, gdzie to specyfiką dyscyplin historycznych było „ujmowanie zjawisk od razu w całości”, rozróżnianie otwierające pole do popisu przeróżnym interpretatorom, wyznawcom idealizmu teorii-poznawczego. Zaciążyło ono nad wszelakimi dziełami, pretendującymi do miana naukowych, a traktującymi o dziejach społeczeństwa, kultury, sztuki itp. Brak ustalonych sposobów weryfikacji pozwolił na wysuwanie niczym nie uzasadnionych hipotez, kryzys logiki zaś trwający wówczas jeszcze usprawiedliwiał i błędne koło, i stosowanie „indukcji zupełnej”, i szereg typów rozumowań podobnego właśnie rodzaju. Oto owoc szkoły marburskiej, niemieckiego neokantyzmu, irracjonalizmu, owoc jakże gorzki i jakże często teraz nawet jeszcze przez nas kosztowany.

III.

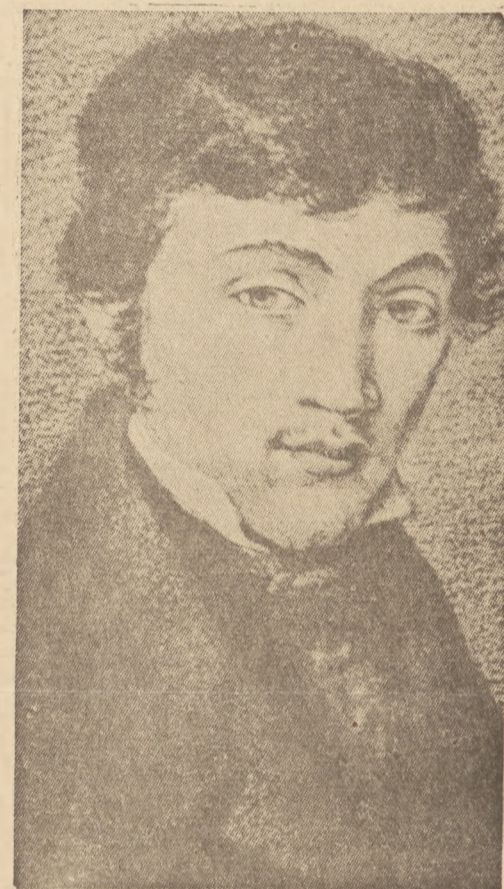
Wartościowanie dzieł sztuki należy chyba do najtrudniejszych operacji na całej przestrzeni nauk humanistycznych. Każda próba w danej dziedzinie zasługująca na baczną uwagę. Zobaczymy więc, jakie są tu kryteria prof. Kleinera. Zaczniemy od cytatu.

„Poza tym przekład („L'education d'une fille” Voltaire'a dokonany przez Mickiewicza — przyp. mój A. W.) jest i zgrabny, i swobodny. Umie dowcipnie przeprowadzić zlokalizowanie”.

„Wobec dzieł późniejszych tak błędnie ów zbiorok („Ballady i Romanse” przyp. mój A. W.), wydaje się czymś tak małym, że trudno dziś oprzytomnić sobie jego znaczenie, trudno w nim ujrzeć naprawdę zjawisko epokowe: toż tylko prostota szczerza „Powrotu Taty”, groza „Lilji”, humor „Pani Twardowskiej” zachowały świeżość niezblakłą”.

„Nigdzie chyba w autorze „Pana Tadeusza” tak nie dochodzi do głosu warstwa słowa i obrazu jak w rozkoszowaniu się grą światła i wyrazem naturalnym”.

W przytoczonych przez nas wypowiedziach badacza mamy do czynienia z oceną estetyczną, jak zaraz się bowiem przekonamy, prof. Kleiner waloryzuje dzieła i ze względu na ich zgodność z wyznawanymi przez niego normami estetycznymi. Znaczenie tych ocen? Oczywiście bardzo wątpliwe. Po pierwsze nie są one uzasadnione (chodzi mi tu o oceny estetyczne) poprzez odwołanie się do jakiegokolwiek kryterium wartościowania, po drugie stanowią wyraz przeżycia poszczególnej osoby, nie mogą w żadnym wypadku pretendować do intersubiektywności. Wielkim złudzeniem licznych systemów estetycznych okazało się przecież mniemanie o tożsamości (przynajmniej w miejscach zasadniczych) gustów ludzkich. Właśnie prace tych wszystkich, którzy oparli się na przekonaniu, że doznanie, jakiego dostarcza nam utwór stanowi bezwzględny i ogólny miernik jego wartości, tworzą przykład, dyskredytujący wiarę w jedynomyślność ocen wydawanych przez zbiór ludzi kompetentnych. Nie wydaje mi się celemowym sięganie tu po wielki rejestr przykładów. Podawano je już nieraz. A jeśli chodzi o mnie, to chciałbym tylko przypomnieć wyrażoną sprzecznym w osądach twórczości Juliusza Słowackiego, osądach wydawanych przez prof. Treliaka i właśnie prof. Kleinera. Jest rzeczą ogólnie znaną, że kryteria waloryzacji a tym samym i podział (w kategoriach — podoba się i nie podoba się) dzieł literackich, a nawet uogólniając — dzieł sztuki, zmieniał się w różnych epokach, dalej



Adam Mickiewicz
M. Wańkowicz

— w tym samym czasie był najczęściej różny w różnych krajach, i w różnych klasach społecznych. Na tej właśnie podstawie zmuszeni jesteśmy odmówić „laurkom” prof. Kleinera intersubiektywności, będącej jedną z najważniejszych cech każdej wypowiedzi naukowej. Skazani jesteśmy na dostrzeżenie w oficie rozsypanych po całej monografii ocenach upodobania, sympatii lub antypatii artystycznych nie badacza, a reprezentanta pewnych klasowych gustów, pewnej frondy estetycznej. Odcyfrujemy ją łatwo, dochodząc do rozważań, też wartościujących, rozważań czynionych już ze stanowiska etyki.

„Ale trudno pogodzić się z myślą, że Mickiewicz przekłada „La pucelle d'Orleans”. Bo „pucelle d'Orleans” to pomnik ohydny cynizmu, Zboczenia moralne spłodziły niewątpliwie w wieku oświecenia rzeczy jeszcze potworniejsze, lecz wtedy przechodziły już na teren patologii; nigdy jednak nawet w XVIII w. nie była w takim stopniu pobudką twórczą poematu obszernego chęć profanowania świętości”.

Tutaj ukazują się mu reguły moralności chrześcijańskiej. Potępienie poematu Voltaira i potępienie prawie całego Oświecenia, paszkwilancki („Pomnik ohydny cynizmu”, „Zboczenia moralne” itd.) atak na postępową wówczas literaturę burżuazyjną właśnie za jej libertynizm, za negatywny stosunek do religii. Gromy spadają imiennie na twórcę „Kandyda” a beziemiennie, jak chyba słusznie się domyślam, na Diderota, d'Argensona, bo daj że i Chamforta. No dobrze, może powiedzieć na to ktoś, ale dopóki nie zakwestionowaliśmy kryteriów, wszystko jest w porządku. Przy przyjęciu mierników wartości prof. Kleinera wiek XVIII rzeczywiście wygląda w ten sposób. Ale w tym punkcie niestety wszelaka dyskusja jest nie do przeprowadzenia. Etyka katolicka bowiem, a ona tutaj stanowi wzorzec, pochodzi rzekomo od Boga. Tym samym przyjęcie jej lub odrzucenie to sprawa wiary a nigdy nauki. Uzasadnienia tych wskazań moralnych, które Mojżesz otrzymał na górze Synaj, nie podejmował się żaden z poważniejszych katolickich filozofów widząc w nich problem, wykraczający poza jakiegokolwiek badania empiryczne. Możemy natomiast przekonać się, do czego doprowadziło przyjęcie takich kryteriów. Rezultat jest to książka, potępiająca prądy umysłowe XVIII w., które kolidowałyby z Kościołem, książka wojującego religianta.

* Juliusz Kleiner „Adam Mickiewicz”.

Mariusz Margal

„ULICA GRANICZNA”

Wraz z Wandą Jakubowską i Eugeniuszem Cękalskim Aleksander Ford należał przed wojną do Stowarzyszenia Miłośników Filmu Artystycznego „Start”, które dążyło do uzdrowienia polskiej kinematografii przez wprowadzenie społecznej tematyki i realistycznej formy. Jako grupa postępową, „Start” napotykał w swojej działalności na stały opór cenzury. Takie filmy Forda jak „Legion ulicy”, „Ludzie Wisły” lub „Przebudzenie” powstawały w ciągłych z nią zmaganiach i przechodziły wiele perypetii, zanim cenzorskie nożyce ustalały ostateczną wersję.

„Ulica Graniczna” jest pierwszym długometrażowym filmem Forda po wojnie i pierwszym, który zapoczątkował współpracę kinematografii polskiej i czeskiej. Temat filmu jest trudny i bolesny: wzajemny stosunek społeczeństwa polskiego i żydowskiego w okupowanej Warszawie. Wybór dzieci na bohaterów jest świadomym zamierzeniem, dzięki któremu Ford chciał w formie jak najłagodniejszej przedstawić ten problem bez jakichkolwiek zadrażnień. Jednakże scenarzyści (Ford i Starski) ułatwili sobie rozwój akcji przez nagromadzenie zbyt wielu „cudownych” przypadków, które osłabiają bardzo silną skądinąd sugestywność filmu. Szkoda także, że w scenariuszu nie wykorzystano elementów sytuacyjnych. Nie mamy np. pojęcia, skąd się wzięło, kto zorganizował i kto kierował powstaniem w ghetcie, a przecież nie było ono spontanicznym zrywem indywidualnym, jak można wywnioskować z filmu. Brak także elementów topograficznych: kilka rytmicznie powtarzanych w miarę trwania filmu słów o zmniejszającej się ludności ghetta, nawet mapa Warszawy z zarysowanymi i stopniowo kurczącym się obszarem ghetta, nadałyby filmowi cenne cechy dokumentalne i zamknęłyby usta tym zachodnio-europejskim krytykom, którzy zwalczają film jako nieprawdziwy.

Scenopis, podstawa sztuki reżyserskiej, został opracowany — sądząc z filmu — nader starannie i drobiazgowo. Niektóre ustawienia aparatu są tak świetnie pomyślane, że potęgają znacznie wrażenie widza. Należy do nich m. in. wolna, pełna smutku w samym tempie, jazda (travelling) aparatu w tragiczną, ostatnią przed opuszczeniem mieszkania, ucieczką sobotnią u Libermanów, jazda, która mijając rytualne świeczniki, odrzucając je gdzieś w bok jak zbędna już, wysłużona dekoracja, umieszcza widza przy stole sobotnim między Libermanami i tym samym zbliża jakby do cierpienia. Należy do nich pomnikowa panorama aparatu, który pełznie za płomieniami wzdłuż ścian płonących domów ghetta, aby odkryć na dachu symboliczną postać Natana dzierżącego sztandar polski obok żydowskiego, postać, której ruch kamery w górę nadał charakter monumentalny i pomnikowy; wreszcie odjazd aparatu przed dziećmi błądzącymi w kanałach, odjazd, który prowadzi Jadzię i Dawidka podkreśla jak gdyby bezcelowość, beznadziejność ich walki.

Przejęcia obrazowe (nie montażowe w sensie technicznym) są u Forda poprawne i efektowne: mimo konwencjonalności w formie są przekonujące i silne. Kiedy zdradza Kuśmirak każe przystrzyc się według „nowej mody” i fryzjer przerażony konstatuje, że „przecież pan wygląda jak...”, nagła zmiana obrazu nie pozwala mu skończyć: oficer niemiecki podchodzi — na nowym już obrazie — do baru z wzniesionym ramieniem: „Heil Hitler!”, kiedy Hans woła do wytresowanego psa „wo ist der Jude”, „der Jude” ukazując się nagle w zmienionym obrazie w postaci zgarbionego Libermana, który szyje opaski z tarczą dawidową. Niewątpliwie najlepsze jest przejście, które okres od bombardowania Warszawy do wkroczenia Niemców zamyka w kłęb dymu, spoza którego wyłaniają się tuż przed obiektywem zatarte i nieostre, jednakowe i niezróżnicowane postacie na jeźdźców (przecież wszyscy Niemcy byli wówczas dla Polaków jednakowi!) W tym dymie, w postaci żołnierza polskiego migającego w odstępach między maszerującymi Niemcami, w czapce polskiej niewiadomo kiedy zrzuczonej na bruk, Ford zawarł podkreślony muzyką tragizm wrześniego kampanii! Wreszcie staranna i głęboka reżyseria takich scen jak pożeganie Jadzi na dworcu przez ojca, rozmowa telefoniczna Dawidka z Bronkiem, praca w zakładach krawieckich i zabójstwo „des Mannes mit der Geschwulst”, na koniec wirtuozowska modlitwa Libermana, świadczą o wysokiej klasie reżyserskiej. Wydaje się jednak, że więcej napięcia i uczucia włożył Ford w reżyserię i rozpracowanie drugiej części filmu od chwili, gdy zrywa z perypetiami indywidualnymi i przechodzi na teren ghetta.

Jednolity (w każdym razie od zakończenia zbyt długiej ekspozycji) styl i rytm filmu jest nadszarpanięty ekliwno-sentymentalnymi scenami „pierścionkowymi” perypetii Jadzi i Władka, dramatycznie niepotrzebnych, bez psychologicznego uzasadnienia. Zarówno sielankowa jazda dorożką jak pseudo-uczuciowa rozmowa Jadzi i Władka przy moście mogłyby ulec poważnym skrótom. Zbędne, bo nic nowego nie wnoszące wydają się również takie sceny jak niepotrzebna dramatycznie rozmowa Kuśmiraka z córką nad fotografią dziadka dra Białka (Warszawiak Kuśmirak



W szwalni — scena z filmu „Ulica Graniczna”

byłby naprawdę taki naiwny, by dopiero dzięki podobieństwu zmienionego nazwiska uświadomić sobie żydowskie pochodzenie dra Białka?); raz w scenie romowy Jadzi z Bronkiem w komórce patetycznie i źle wmontowane ujęcie Jadzi, która nagle w wielkim planie (w zmienionym oświetleniu, które ma podkreślić jej bohaterstwo) oświadcza, że „pójście wytłumaczyć szkopom” zło ich postępowania; spośród trzech piosenek: „Warszawskie dzieci”, „Erica” i „Pocóżesz tu przyszedł” tę ostatnią można by śmiało usunąć. Wreszcie, z wyjątkiem partii Libermana, dialogi filmu są stanowczo zbyt patetyczne.

Tego rodzaju usterki nie mają w przebiegu akcji zasadniczego znaczenia i są wobec problematyki filmu zagadnieniem drugorzędnym. „Ulicę graniczną” należy bowiem rozpatrywać przede wszystkim pod kątem jej ideologii. Szkoda przecież, że teza werbalna („nie ma granic między ludźmi”) szczególnie pięknie wyrażona w końcowych słowach filmu nie znajduje dostatecznie przekonująco paragonów w elementach wizualnych. „Nie zginięsz Dawidku!”, mówi anonimowy speaker, „ty nie możesz zginąć!” (w sensie ogólnoludzkiego symbolu zapewne!) — w konkretnej jednak rzeczywistości filmowej (obrazie) nikt, nawet Broniek i Władek, nie powstrzymują Dawidka na zbyt symbolicznej drodze ku zgubie, gdy wraca do walącego się ghetta.

Równoległe z tą tezą film pokazał niebezpieczeństwo obojętności wobec grupy ludzi, w tym wypadku Żydów, jako zbiorowości, niebezpieczeństwo, którego nie zmniejszają przypadkowe i niezorganizowane akty pomocy indywidualnej. Bo jeżeli Broniek niesie pomoc Dawidkowi, to dlatego, że go zna, że lituje się nad jego osobistym losem, może jeszcze ze względu na bliski kontakt chłopca z Jadzią — czy jednak pomoże innemu Dawidkowi z innego podwórka, tak jak Władek, który przeszedł wyraźną ewolucję i który po przełomie nie traktuje Dawidka jednostkowo? Motorem historycznej wprost chęci pomocy ze strony panny Klary jest także prywatne współczucie ograniczone już tylko do Jadzi. Pozostali Żydzi są dla panny Klary straszną masą stłoczonych za murami ludzi niepojętych, odległych, niezróżnicowanych tak jak i dla reszty Polaków — bezimiennych przechodniów, którzy biernie przyglądają się sensacyjnej wizji palenia ghetta. Z masy tej wyodrębniają się, jeżeli chodzi o istotną typizację jednostek, jedynie bezmyślni „antysemici z przekonania”, Wojtanowie, i zdradcy Kuśmirakowie. Film nie wykracza więc poza drobnomieszczański krąg polskiego społeczeństwa. Pozbawiając widza obrazu polskiej inteligencji i proletariatu nie przedstawia pełnej rzeczywistości społecznej. (Polski strażak zabity przez Niemców za próbę gaszenia płonących domów w ghetcie i Polacy w dwóch scenkach pomagający Żydom w sposób zorganizowany — dostawa broni i zniszczenie kulomiotu — są potraktowani zbyt epizodycznie i w sposób z całością filmu niczym nie związany).

Schemat społeczności żydowskiej jest również niepełny. Stary krawiec Liberman to biedny, chasydzki lumpenproletariusz; Natan wyrwyjący się już poza mury odrębności żydowskiej mógłby być równie dobrze bojownikiem klasowym co palestyńskim pionierem; Dawidek to dziecko żydowskie na pograniczu obu światów, dziecko wychowane w zaśnieżonym chederze, ale już, może nie zawsze świadomie, rwące się do innego świata. Pomiędzy jest więc uświadomiony robotnik żydowski (a przecież lewica — syjonistyczna lub niesyjonistyczna, to mniej

mi walącego się domu, wcielił się w tragiczną śmierć warszawskiego żydostwa.

Na specjalną uwagę zasługuje Jurek Złotnicki w roli Dawidka; należy jednak baczyć, by jego oczywisty talent nie uległ wypaczeniu i manieryzacji, o co tak łatwo w tym wieku. Nie uchroniono też Marii Broniewskiej: gra ona Jadzię nonszalancko, kryguje się, pozuje na „gwiazdę”. Pozostałe dzieci nie zostały należycie wykorzystane i wypadły blado i bez wrażenia.

Zawiedli i „starzy” aktorzy. Pichelski (Wojtan) zagrał tak „drewniano”, że wprost każde wypowiedziane przez niego słowo brzmi fałszywie. Leszczyński (dr Białek) jest stosownie do swojej postaci nijaki; Sroćka (Natan) zbyt patetyczny, szczególnie w pierwszej części. Najnaturalniejszy jest już bodaj Fijewski, chociaż Cwiklińska i Walter także bez zarzutu interpretują swoje role.

Do najlepszych elementów filmu należy bezspornie muzyka Palestra, który stworzył jedną z najlepszych polskich partytur filmowych. Jest sugestywna, rośnie nieprzerwanym, zsynchronizowanym z obrazem crescendo, nakładając na obraz jeszcze jedną, głęboką warstwę potężniejszego tragizmu.

Momenty żydowskie są zbyt ubogo rozpracowane tematycznie, chociaż są bezspornie prawdziwe i wzruszające, bez wątpienia najlepszą ich częścią jest modlitwa Godika. Jeżeli chodzi o nagranie dźwiękowe filmu, to „Ulicę graniczną” można pod tym względem przyjąć bez żadnych zastrzeżeń: jest to zastuga Czecha Mirosława Prokosa, który nie może oczywiście odpowiadać za zły ekwipunek techniczny niektórych naszych sal.

Jeżeli chodzi o dekorację, to łódzki plener warszawskiej ulicy i ghetta (Radziwiłłowa) jest bez porównania lepszy od barandcowskich kanałów (Kopeckiego). Te ostatnie są może bardzo efektowne, ale nie są kanałami. Są czystym pokazowym basenem podziemnym, o pięknych efektach falującej wody. Zapachu ich, duszącego i odrażającego, nie czuje nie tylko widz, ale — co gorsza — nawet Jadzia z Dawidkiem.

Robota operatorska (Jaroslava Tuzara) jest znacznie lepsza w drugiej części, choć i na początku układ klatek i kompozycja obrazu świadczą o wysokim wyczuciu plastycznym operatora (np. Liberman widziany przez owalną oprawę okna).

Słaby, a miejscami wręcz zły, jest montaż. Przykłady: Jadzia splunęła na Hansa, ślina spadła jej na podbródek — Hans otarł twarz. Ucieczka Jadzi ze wsi do Warszawy zbiega się w czasie z jej momentem przybycia do stolicy (co nb. ma miejsce po godzinie politycznej, późnym wieczorem, a Jadzia jest żydowskim dzieckiem, nie ma papierów ani pieniędzy!) Zły jest również montaż walki Hansa z psem i pogoni gestapowców za dziećmi pod murami ghetta.

Niemniej jednak te ewentualne usterki nie wiele znaczą wobec niezwykłej siły emocjonalnej filmu, a błędy ideologiczne i klasowe uchodzą miejscami uwadze, szczególnie tam, gdzie reżyserowi udało się osiągnąć realistyczny charakter filmu. Co prawda nie stworzył postaci i uogólnień, które by „wykazały prawa rozwoju społeczno-historycznego”, ale jego ludzie odpowiadają swym środowiskom, określają je i na tym tle wykazują niebezpieczeństwo drogi, która przez nienawiść człowieka do człowieka prowadzi do zupełnego upadku i upadku.



„Ulica Graniczna”: W. Godik jako krawiec Liberman J. Złotnicki w roli Dawidka

„LUBOW JAROWA”

(Fragmenty III aktu)

Sztuka Konstantego Treniewa „Lubow Jarowa” uznana jest powszechnie za wybitne osiągnięcie dramatu radzieckiego. Wystawiona poraz pierwszy w roku 1927 weszła odtąd do żelaznego repertuaru teatrów Związku Radzieckiego. Treniew pokazuje w niej dramatyczne dzieje okresu walki bolszewików z siłami kontrrewolucji. W przechodzącym z rąk do rąk mieście przesuwają się przed oczami dwa światy. Czerwonych wiąże wszystko: oziarność, bohaterstwo wynikają u nich z walki o słuszną sprawę, a lepsze, sprawiedliwsze życie. obrońcy starego porządku ukazują się nam w całej ohydzie rozkładającej się klasy. Łączy ich tylko nienawiść do rewolucji, ich brzydota moralna odstała się w wzajemnym zakłamaniu, zawzięci i goniwcy za podławym interesem własnym. Drukowane fragmenty III aktu są właśnie ilustracją prawdziwego oblicza obrońców burżuazyjno - ziemiańskiej Rosji.

Zapada wieczór. W połowie aktu zmrok. Pokój z pierwszego aktu. Trójbarwne flagi. Plakaty, afisze o zabawach tanecznych „Na rzecz sił zbrojnych południowej Rosji”. Kółosow zakłada przewody. W drzwiach staje Lubow Jarowa.

LUBOW: Czegoście się dowiedzieli?
KOŁOSOW: Prawie nic, wszystko wskazuje na to, że żelgowcy nie ujdą kary śmierci. Czekają tylko potwierdzenia wyroku.
LUBOW: To wiadomo, że nie darują. Ale kiedy? Był teraz Szwandia od Romana. Mają odbić towarzyszy żelgowców w drodze na egzekucję. Za wszelką cenę trzeba się będzie dowiedzieć, gdzie to będzie i kiedy.
KOŁOSOW: Stracą ich natychmiast po zatwierdzeniu wyroku.
LUBOW: Ale kiedy przyjdzie to zatwierdzenie?

KOŁOSOW: Być może, że już przyszło.
LUBOW: Otóż w tym rzecz. Panowa wie na pewno o wszystkim. (Wychodzi).
(Wchodzi Panowa, Kutow i Jelisatow).
JELISATOW: Witam, pułkowniku. Kiedy Pan był łaskaw wrócić?
KUTOW: Przed chwilą. Prosto z frontu. Złożyłem raport jego ekscelencji o nowym, wspaniałym zwycięstwie pod Selezniewką. Czy wiecie już o naszych zdobyczach?
JELISATOW: Oczywiście; siedemdziesięciu jeńców i cztery karabiny maszynowe.
KUTOW: Pomyłka. Stu siedemdziesięciu jeńców.
JELISATOW: W depeszy...
KUTOW: Poprawić. Czternaście karabinów maszynowych i dziewięć dział.
JELISATOW: Już wydrukowane, ale można puścić „Dodatkowy komunikat”.

JELISATOW: Czy pozwoli Pan, Pułkowniku, zamieścić wywiad w dodatku nadzwyczajnym?
KUTOW: Proszę bardzo. Droga Pawło Pietrowno, co nowego u tych szubrawców, naszych szlachetnych sprzymierzeńców?
PANOWA: Płoteczką o modzie, nowa ope- retka. Cały Paryż poruszony.
KUTOW: Ale pani niech się tym tak nie wrusza, moja droga. Dostaniemy broń, potem przyjdą i mody. Arkadiusz Piotrowicz, wie pan o przyjeździe jego ekscelencji?
JELISATOW: Wiem, oczywiście.
KUTOW: Między innymi w czasie zesłej bytności jego ekscelencji na ulicach nie było prawie ludności cywilnej. Jego ekscelencja zauważył to...
JELISATOW: Zwiększyć udział ludności cywilnej? Ale ktoś ma się tym zająć? (Wchodzi protojerej Zakatow). Otóż ojciec protojerej też mógłby natchnionym słowem...
JELISATOW: A czyż słowami...
ZAKATOW: Pozdrawiam was panowie. Jego ekscelencja nie przybył jeszcze? Czy prawdziwie prorokowałem nowe zwycięstwo?
KUTOW: Najzupelniej prawdziwie. (Słowa ojca są natchnione).

ZAKATOW: To wielka radość. Tym większa, że rokuje nam zwycięstwo ostateczne. Spotkałem właśnie na placu pułkownika Malinina. Tylko co wrócił z karnej ekspedycji. Zbuntowane wsie zrozumiały swoją winę i teraz żałują. Wspomnieć moje prośbę słowa Panowie: Za czterdzieście dni będziemy słuchać malinowego dźwięku moskiewskich dzwonnicy. (Wchodzi Jarow i Malinin). O wilku mowa, a wilk tu.
MALININ: Witajcie panowie. Ojciec protojereju, proszę o błogosławieństwo.
ZAKATOW: (błogosławiając) Bądź pozdrowiony niosący pokój.
MALININ: (ucalaował rękę Zakatowa a potem obie ręce Panowej). Najpierw jedną poświęconą, a potem dwie boskie.
ZAKATOW: Kolejność powinna, ale słowa próżne.
PANOWA: Fi, jak nazywają się wasze perfumy? Ezekucyjne? O, pułkownik Kutow przywiózł mi z frontu cud!

KUTOW: Gratuluje sukcesów, pułkowniku.
MALININ: Wzajemnie.
JELISATOW: Czy można przeprowadzić wywiad?
MALININ: Przed raportem dla jego ekscelencji — nie mogę.
JELISATOW: Przynajmniej ogólnikowo.
MALININ: No, jeśli ogólnikowo...
JELISATOW: Jakie środki przesięgnięto dla opanowania sytuacji?
MALININ: Natychmiastowe i stanowcze. Droga egzekucji i spalenia wsi. To oczywiście nie do druku. W druku proszę zaznaczyć, że w ciężkim dwutygodniowym marszu cały oddział, od komendanta do ostatniego żołnierza, spisał się bez zarzutu. Każdy był gotów pójść za wiarę na krzyż, za cara na szafot, za ojczyznę na bagnety. A za takie rączki (całuje Panową w rękę) w ogień i w wodę.
PANOWA: A ktoś pana ciągnął na szafot — dziewczęta?
KUTOW: Czyżby na tyłach były bagnety?... (parska śmiechem).

MALININ: Mogę zapewnić łaskawą panią, że po pierwsze: knowania bolszewików na tyłach gorsze są od ich bagnatów na froncie, a po drugie: myśmy na tyłach żydowskich pierzyn na bagnety nie brali i nie perfumy dla pań zdobywali, jak to robili na froncie ci, co teraz parskają.
KUTOW: A po trzecie ojciec protojereju, wydaje mi się, że szlachetniej walczyć z Żydami na froncie, niż z rosyjskimi dziewczętami na tyłach.
ZAKATOW: Z jednej strony tak, ale już z drugiej, a z trzeciej zwłaszcza...
KUTOW: Walczycie z babami, a pod samym nosem o mało nie wyleciał wam w powietrze most Żelgowski.

MALININ: No, jednak nie wyleciał. I Mazuchina z Chruszczem udało mi się ująć.
KUTOW: Panu się udało? Przecież to robotę porucznika Jarowego. I Pan napróżno się...
JAROWY: Panowie, skończone już z tym. Chwila jest poważniejsza niż przypuszczacie. Dopóki nie zlikwidujemy Romana Koszkin, nie będziemy mieli spokoju na tyłach.
MALININ: Zlikwidujemy. Mamy już zupełnie pewne informacje: ukrywa się w lasach Orechowskich. A ten, jak mu tam — no ten co przy wieszaniu zadusił konwojenta?
KUTOW: Szwandia?
MALININ: Tak, tak Szwandia — w wilczych Parowach. Natychmiast trzeba pchnąć oddziały w tych kierunkach.
JAROWY: Myślę, że pan się myli, i dopóki będziecie lazić z oddziałami po lasach i parowach, tutaj mosty i magazyny będą wylatywały w powietrze.

MALININ: Tu właśnie istnieje konieczność oddziaływania moralnego. Szajkę żelgowską należy powiesić nie w Żelgówce, lecz tu na bulwarze.
KUTOW: Tak, to byłby świetny efekt.
MALININ: Poproszę teraz o rozporządzenia jego ekscelencji (bierze słuchawkę telefonu).
JAROWY: Sprzeciwiam się kategorycznie. KUTOW: To by dało efekt moralny...
JAROWY: Ja bym chętnie nie tylko dla efektu porozwieszał tych spodłajych pacholców i nie tylko na bulwarze, ale na całej drodze do Moskwy. Ale teraz efekt będzie taki, że ten Koszkin odbije ich u wrót więzienia.

MALININ: Ależ Koszkin też będzie w naszych rękach. A jak jutro zobaczą taką girlandę na bulwarze, to będzie bardziej przekonujące od wszystkich proklamacji. Wiercie staremu doświadczeniu.
KUTOW: Skończmy z połowiczną grą. Jeśli ogłosiliśmy terror, to dotrzynamy.
MALININ: Musimy być bezwzględni w stosunku do sympatyków bolszewizmu. Część trzeba wysłać na front, a część izolować tutaj.
JAROWY: I zostaniemy nam Jelisatow.
MALININ: Więc pan broni sympatyków bolszewizmu?
JAROWY: Zda się, że nie zdradza mi jeszcze ręka w walce z bolszewikami. I moim zdaniem...
MALININ: (ostro mu przerywając) Panie poruczniku, radzę panu raz na zawsze zachować swoje zdanie dla siebie i postępować według rozkazów jego ekscelencji.
JAROWY: (wstrzymując gniew) Zdanie o panu zachowam dla siebie. (Słychać podjeżdżające auta).
KUTOW: (patrzy w okno) Jego ekscelencja. (Wszyscy przechodzą do gabinetu generała).

(Z sąsiedniego pokoju wchodzi Panowa niosąc papiery. W nieoświetlonym oknie zarysowuje się postać Koszkin w chłopskim stroju z koszykiem w ręce).
KOSZKIN: Towarzyszko Panowa!
PANOWA: Kto to? Roman... Skąd tu?
KOSZKIN: Przyniosłem leśne jagódki (podaje koszyk).
PANOWA: Czyście zwiariowali... W każdej chwili mogą was ująć.
KOSZKIN: Wyrok już jest? Kiedy będą wieść? I gdzie?
PANOWA: Kogo?
KOSZKIN: No prędko!
PANOWA: Nie wiem.
KOSZKIN: Wiecie.
PANOWA: Odejdźcie.
KOSZKIN: (skierowuje na nią rewolwer) No! znacie mnie przecież. Życie towarzyszy żelgowskich droższe mi od własnego. (Za drzwiami kroki).
PANOWA: Uciekajcie... Ktoś idzie...
KOSZKIN: Ja rze żartuję. Czekam. (znika). (Wchodzi Czyr śpiewając: „Carstwuj na sławu nam”).
PANOWA: Czego chcecie Czyr?
CZYR: To pani mnie nie wołała?
PANOWA: Nie.
CZYR: Staremu człowiekowi nieraz się przywidzi...
PANOWA: Przeznajcie się lepiej.
CZYR: (Żegna się). Ładnie pachnie jagodami. Leśnymi. Zbierają ludzkie. — Bandytów się nie boją. (Wchodzi Jarow).
JAROWY: Cóż tam Czyr?
CZYR: Opowiadam, jak jagody pachną leśne...
JAROWY: Któż to pani przyniosł?
PANOWA: Wielbiciel.
CZYR: Tylko Boga jednego wielbić należy.

JAROWY: Idź precz... (Czyr wychodzi).
JAROWY: Opowie mi pani o swoim wielbicielu?
PANOWA: Nie.
JAROWY: Nazbierał jagód w partyzanckim lesie. Odważny chłopak...
PANOWA: Nie bojaźliwy.
JAROWY: Ależ to jak romans.
PANOWA: Maleńki.
JAROWY: A może ten maleńki romans pisze się bez „s”? (Patrzają sobie w oczy).
PANOWA: Widzę, że pan lubi zaglądać do cudzego serca.
JAROWY: To z zazdrości.
PANOWA: Lepiej, żeby pan był zazdrosny o własną żonę.
JAROWY: A kogo mam podejrzewać?
PANOWA: Nie jestem donosicielką... Niech pan sobie oszczędzi pytań.
JAROWY: No, jeśli ktoś na panią doniesie, to nie będą oszczędzali pytań.
PANOWA: Widzę, że pan mnie myli ze swoją żoną.
JAROWY: Nie, nie myślę Pani. Moja żona nie pracuje w sztabie i nie odpowiada głową za znajomości z partyzantami (wychodzi).
(Z ulicy słychać dźwięki hymnu, okrzyki. Wchodzi Luba i zatrzymuje się w cieniu).
PANOWA: Kto tu? Czyr, to ty?
LUBOW: Nie, to ja.
PANOWA: A, towarzyszka Jarowa. Pani do kogo?
LUBOW: Do was.
PANOWA: O cóż chodzi?
LUBOW: Chciałam się dowiedzieć... Czy byście nie pomogli...
PANOWA: W czym?
LUBOW: Zaaresztowano moich uczniów komsomolców. Chciałam widzieć się z pułkownikiem Malininem, czy go nie ma?
PANOWA: Nie ma.
LUBOW: Jaka szkoda... Poczekam.
PANOWA: Proszę.
LUBOW: Pawło Pietrowna, ja... o żelgowcach... Wania powiedział...
PANOWA: Posłuchajcie...
LUBOW: Nie, to wy posłuchajcie!
PANOWA: Słucham.
LUBOW: Pomóżcie. Powiedzcie moja droga... w waszych rękach życie takich ludzi, takich ludzi...
PANOWA: Gdyby rzeczywiście w moich rękach było życie takich ludzi, to chętnie hymn ich udusiła.
LUBOW: Nie wierzę.
PANOWA: Możecie wierzyć. Gdyby na miejscu żelgowców byli biali zabójcy a wy na moim miejscu, czy ratowalibyście ich?
LUBOW: To się nie zdarzy. Ale obie jesteśmy wdowami. Czyż chcecie, żeby było nas jeszcze więcej?
PANOWA: O, chcę! Idźcie już. (Czyr przynosi korespondencję, kładzie na stole i wychodzi).
LUBOW: Co to?
PANOWA: Nowa korespondencja...
LUBOW: To może właśnie tu...
PANOWA: Wszystko być może (wychodzi). (Luba podchodzi szybko do stołu, chce przeszukać korespondencję. Czyr pojawia się w cieniu, Lubow ogląda się, spotyka się ze wzrokiem Czyra).
LUBOW: Przyszedł do pułkownika, i go...
CZYR: Nie ma.
LUBOW: Mam ważną sprawę.
CZYR: Tak.
LUBOW: Trzeba czekać.
CZYR: Trzeba.

(pausa)
LUBOW: Przynieście mi wody.
CZYR: Napój łaknącą duszę twoją wodą sprawiedliwości.
LUBOW: Nie dacie? Judasz! (chce wyjść).
CZYR (zastępując drogę): Nie Judasz. Hiob — święte imię moje.
(Wchodzi Malinin).
MALININ: Co, o co chodzi?
LUBOW: Chciałam się poinformować.
CZYR: W papierach chciała się poinformować.
MALININ: W papierach? Kto Pani jest?
LUBOW: Nauczycielka. Chcę się dowiedzieć...
MALININ: Co?
LUBOW: Wczoraj aresztowano moich uczniów. Chłopcy z dobrych szlacheckich rodzin, dobrze wychowani... to chyba nieporozumienie.
MALININ: Zdarza się. Niech Pani spocznie.
LUBOW: Przyszedłam więc prosić... w sprawie uwolnienia. (Zapomniałszy się, wpatruje się chwilę w papiery leżące na stole).
MALININ: (chwytając jej spojrzenie) Więc Pani przyszła dowiedzieć się czy prosić?
LUBOW: Tak... Bardzo proszę.
MALININ: Jak Pani godność?
LUBOW: Jarowa...
MALININ: Może krewna porucznika Jarowego?
LUBOW: Tak... daleka. Mieszkała u nas w majątku jako student. Ponieważ okazał się czerwoną, musieliśmy się rozstać.
MALININ: A gdzie jest majątek państwa?
LUBOW: Mój Boże, gdzież teraz wszystkie majątki? Kiedyż, kiedy pułkowniku drogi, zwrócić je nam?
MALININ: Cierpliwości proszę Pani, cierpliwości. Wszystko z Bożą pomocą zwrócimy.
LUBOW: Nadzieja tylko w Bogu i w was.
MALININ: Dziękuję, dziękuję. Staramy się. Zaraz zobacze, co z pani sprawą. Proszę bardzo poczekać minutkę.
LUBOW: Pan będzie łaskaw.
(Malinin wychodzi zostawiając drzwi nie- domknięte. Lubow podchodzi do stołu i wyciąga rękę ku papierom. Drzwi otwierają się gwałtownie. W drzwiach staje Malinin).
MALININ: No! Czego pani tam szukała? Informacji? O czym? Proszę mówić prawdę.

MALININ: Nic panu nie powiem.
MALININ: Czy pani rzeczywiście nie jest krewną porucznika Jarowego?
(Lubow milczy).
(Malinin bierze słuchawkę telefonu). Dwa- naście. Czy jest u was porucznik Jarow? Proszę natychmiast do mnie (kładzie słuchawkę), więc pani odmawia odpowiedzi? (Lubow milczy. Wchodzi Jarow).
JAROWY: Luba...
MALININ: To pańska krewna?
JAROWY: Zona.
MALININ: Ach tak? Nie wiedziałem.
JAROWY: O co chodzi?
MALININ: Pańska małżonka zdradza wielkie zainteresowanie naszymi papierami.
JAROWY: A! Więc to tak!... Proszę wybaczyć pułkowniku, to mały dramat rodzinny. Moja żona jest chorobliwie zazdrosna. Po prostu nieszczęście! W mojej korespondencji poszukuje listów od kobiet. Podejrzewa, że bileciki miłosne przychodzą adresowane na biuro. Luba! Chodźmy stąd!
(Jarow i Luba wychodzą. Z ulicy słychać hymn, auta).
MALININ: Jego ekscelencja. (Uroczyście powitanie głównodowodzącego. Straż honorowa. Muzyka. Przedstawiciele Ententy. Delegacje. Matuszka podaje chleb i sól).
ZAKATOW: Zechciejcie wasza ekscelencjo, nasz orle - komendant, szybując nad Rosją — przyjąć wyrazy hołdu z okazji zwycięstwa nad Selezniewką. Te tysiąc jeńców, zdobyte setki ognionośnych armat i kulomiotów — to gwarancja, że bliski już czas, kiedy lud rosyjski wypędzi z ojczyzny zdrajców i rozbójników, wkroczy do matki Moskwy i przy malinowym dźwięku jej niezliczonych dzwonów — zwróci swemu prawowitemu władcy tron i ojczyznę.

GENERAL: Dziękuję.
DELEGAT ZIEMIANSTWA: Wasza ekscelencjo! My, ziemiaństwo, żyjemy wiarę, że gdy cała ziemia rosyjska zostanie zwrócona jej gospodarzowi - pomazanić, to i poszczególne majątki powrócą do gospodarzy ziemian. Albowiem tylko z części może się złożyć całość. Święta Rosja może istnieć jedynie w oparciu o uświęcone prawo własności.
GENERAL: Dziękuję.
DELEGAT PRZEMYSŁOWCÓW: Wasza ekscelencjo, w imieniu przemysłowców mam zaszczyt wyrazić przekonanie, że rozbite środki przemysłowe mogą być odbudowane i zostaną odbudowane rękami prawnych właścicieli.
GENERAL: Dziękuję.
FOLGIN: Pozwólcie wasza ekscelencjo zapytać w imieniu inteligencji pracującej: jakiej monarchii mamy się spodziewać?
GENERAL: Dzięk... Co?
FOLGIN: Jeśli konstytucyjnej, to całym sercem witamy, ale jeśli samowładztwo... (General patrzy na Folgina, oczy wylazły mu ze wszelekrości, sztyja sinieje. Wylatuje do gabinetu, za nim Zakatow i inni).
MALININ: Panie Folgin, cóż za nietakt.
FOLGIN: Całe życie marzyłem o konstytucji.
MALININ: A ja całe życie walczyłem z konstytucją.
(Wszyscy wychodzą. Malinin niespostrzeżenie zostaje).
MALININ (do Panowej): Droga moja, więc dziś tańczymy do rana?
PANOWA: Do wschodu słońca.
MALININ: Pani jest moim słońcem (całuje ją w rękę).
(Wchodzi Kutow).
KUTOW: Panie pułkowniku, cóż to... Jego ekscelencja czeka... Pan się zapomina. Nie jestem pańskim adiutantem.
MALININ: Dobrze. Zapamiętam to (wychodzi).
KUTOW (gniewnie): Ślicznie. Ja też zapamiętam... Pawło Pietrowna! Albo ja, albo on...
PANOWA: Tak? A jeśli ani pan, ani on?
KUTOW: Pawło Pietrowna — to niebezpieczne żarty.
PANOWA: Niby dlaczego? Rozpatrzmy jeszcze kilka kombinacji.
KUTOW: Na przykład?
PANOWA: Na przykład, jeśli on, a nie pan?
KUTOW: To go zabije.
PANOWA: A jeśli i pan, i on?
KUTOW: To panią zabije.
PANOWA: O! tyle trupów w ciągu jednego dnia?
KUTOW: Pawło Pietrowna, ostrożnie. — Materiały wybuchowe! Ja wiem o pani kontaktach z czerwonymi.
PANOWA: Wszyscy wiedzą dlaczego pracowałam u czerwonych.
KUTOW: No, tak. (Cicho). Dziś przyjdzie pani do mnie, albo tamtą sprawą zainteresuje się kontrwywiad. Za osiem godzin.
PANOWA: Ach! (przez zęby). Dobrze... (Kutow całują ją w rękę i wychodzi. Wchodzi Lubow).
LUBOW: Przyszedłem do was od Romana... Po raz ostatni...
PANOWA: Czyżby — ostatni?
LUBOW: Przyszedł wyrok?
PANOWA: Przyszedł.
LUBOW: Gdzie jest?
PANOWA: W teczce pułkownika Kutowa.
LUBOW: Na pewno?
PANOWA: Tak, tak!
(Wchodzi Kutow)
KUTOW: Niech pani kończy. Idę do do- mu.

MALININ: Nie bojaźliwy.
JAROWY: Ależ to jak romans.
PANOWA: Maleńki.
JAROWY: A może ten maleńki romans pisze się bez „s”? (Patrzają sobie w oczy).
PANOWA: Widzę, że pan lubi zaglądać do cudzego serca.
JAROWY: To z zazdrości.
PANOWA: Lepiej, żeby pan był zazdrosny o własną żonę.
JAROWY: A kogo mam podejrzewać?
PANOWA: Nie jestem donosicielką... Niech pan sobie oszczędzi pytań.
JAROWY: No, jeśli ktoś na panią doniesie, to nie będą oszczędzali pytań.
PANOWA: Widzę, że pan mnie myli ze swoją żoną.
JAROWY: Nie, nie myślę Pani. Moja żona nie pracuje w sztabie i nie odpowiada głową za znajomości z partyzantami (wychodzi).

(Z ulicy słychać dźwięki hymnu, okrzyki. Wchodzi Luba i zatrzymuje się w cieniu).
PANOWA: Kto tu? Czyr, to ty?
LUBOW: Nie, to ja.
PANOWA: A, towarzyszka Jarowa. Pani do kogo?
LUBOW: Do was.
PANOWA: O cóż chodzi?
LUBOW: Chciałam się dowiedzieć... Czy byście nie pomogli...
PANOWA: W czym?
LUBOW: Zaaresztowano moich uczniów komsomolców. Chciałam widzieć się z pułkownikiem Malininem, czy go nie ma?
PANOWA: Nie ma.
LUBOW: Jaka szkoda... Poczekam.
PANOWA: Proszę.
LUBOW: Pawło Pietrowna, ja... o żelgowcach... Wania powiedział...
PANOWA: Posłuchajcie...
LUBOW: Nie, to wy posłuchajcie!
PANOWA: Słucham.
LUBOW: Pomóżcie. Powiedzcie moja droga... w waszych rękach życie takich ludzi, takich ludzi...
PANOWA: Gdyby rzeczywiście w moich rękach było życie takich ludzi, to chętnie hymn ich udusiła.

LUBOW: Nie wierzę.
PANOWA: Możecie wierzyć. Gdyby na miejscu żelgowców byli biali zabójcy a wy na moim miejscu, czy ratowalibyście ich?
LUBOW: To się nie zdarzy. Ale obie jesteśmy wdowami. Czyż chcecie, żeby było nas jeszcze więcej?
PANOWA: O, chcę! Idźcie już. (Czyr przynosi korespondencję, kładzie na stole i wychodzi).
LUBOW: Co to?
PANOWA: Nowa korespondencja...
LUBOW: To może właśnie tu...
PANOWA: Wszystko być może (wychodzi). (Luba podchodzi szybko do stołu, chce przeszukać korespondencję. Czyr pojawia się w cieniu, Lubow ogląda się, spotyka się ze wzrokiem Czyra).
LUBOW: Przyszedł do pułkownika, i go...
CZYR: Nie ma.
LUBOW: Mam ważną sprawę.
CZYR: Tak.
LUBOW: Trzeba czekać.
CZYR: Trzeba.

(pausa)
LUBOW: Przynieście mi wody.
CZYR: Napój łaknącą duszę twoją wodą sprawiedliwości.
LUBOW: Nie dacie? Judasz! (chce wyjść).
CZYR (zastępując drogę): Nie Judasz. Hiob — święte imię moje.
(Wchodzi Malinin).
MALININ: Co, o co chodzi?
LUBOW: Chciałam się poinformować.
CZYR: W papierach chciała się poinformować.
MALININ: W papierach? Kto Pani jest?
LUBOW: Nauczycielka. Chcę się dowiedzieć...
MALININ: Co?
LUBOW: Wczoraj aresztowano moich uczniów. Chłopcy z dobrych szlacheckich rodzin, dobrze wychowani... to chyba nieporozumienie.
MALININ: Zdarza się. Niech Pani spocznie.
LUBOW: Przyszedłam więc prosić... w sprawie uwolnienia. (Zapomniałszy się, wpatruje się chwilę w papiery leżące na stole).
MALININ: (chwytając jej spojrzenie) Więc Pani przyszła dowiedzieć się czy prosić?
LUBOW: Tak... Bardzo proszę.
MALININ: Jak Pani godność?
LUBOW: Jarowa...
MALININ: Może krewna porucznika Jarowego?
LUBOW: Tak... daleka. Mieszkała u nas w majątku jako student. Ponieważ okazał się czerwoną, musieliśmy się rozstać.

MALININ: A gdzie jest majątek państwa?
LUBOW: Mój Boże, gdzież teraz wszystkie majątki? Kiedyż, kiedy pułkowniku drogi, zwrócić je nam?
MALININ: Cierpliwości proszę Pani, cierpliwości. Wszystko z Bożą pomocą zwrócimy.
LUBOW: Nadzieja tylko w Bogu i w was.
MALININ: Dziękuję, dziękuję. Staramy się. Zaraz zobacze, co z pani sprawą. Proszę bardzo poczekać minutkę.
LUBOW: Pan będzie łaskaw.
(Malinin wychodzi zostawiając drzwi nie- domknięte. Lubow podchodzi do stołu i wyciąga rękę ku papierom. Drzwi otwierają się gwałtownie. W drzwiach staje Malinin).
MALININ: No! Czego pani tam szukała? Informacji? O czym? Proszę mówić prawdę.

MALININ: Nic panu nie powiem.
MALININ: Czy pani rzeczywiście nie jest krewną porucznika Jarowego?
(Lubow milczy).
(Malinin bierze słuchawkę telefonu). Dwa- naście. Czy jest u was porucznik Jarow? Proszę natychmiast do mnie (kładzie słuchawkę), więc pani odmawia odpowiedzi? (Lubow milczy. Wchodzi Jarow).
JAROWY: Luba...
MALININ: To pańska krewna?
JAROWY: Zona.
MALININ: Ach tak? Nie wiedziałem.
JAROWY: O co chodzi?
MALININ: Pańska małżonka zdradza wielkie zainteresowanie naszymi papierami.
JAROWY: A! Więc to tak!... Proszę wybaczyć pułkowniku, to mały dramat rodzinny. Moja żona jest chorobliwie zazdrosna. Po prostu nieszczęście! W mojej korespondencji poszukuje listów od kobiet. Podejrzewa, że bileciki miłosne przychodzą adresowane na biuro. Luba! Chodźmy stąd!
(Jarow i Luba wychodzą. Z ulicy słychać hymn, auta).
MALININ: Jego ekscelencja. (Uroczyście powitanie głównodowodzącego. Straż honorowa. Muzyka. Przedstawiciele Ententy. Delegacje. Matuszka podaje chleb i sól).
ZAKATOW: Zechciejcie wasza ekscelencjo, nasz orle - komendant, szybując nad Rosją — przyjąć wyrazy hołdu z okazji zwycięstwa nad Selezniewką. Te tysiąc jeńców, zdobyte setki ognionośnych armat i kulomiotów — to gwarancja, że bliski już czas, kiedy lud rosyjski wypędzi z ojczyzny zdrajców i rozbójników, wkroczy do matki Moskwy i przy malinowym dźwięku jej niezliczonych dzwonów — zwróci swemu prawowitemu władcy tron i ojczyznę.

GENERAL: Dziękuję.
DELEGAT ZIEMIANSTWA: Wasza ekscelencjo! My, ziemiaństwo, żyjemy wiarę, że gdy cała ziemia rosyjska zostanie zwrócona jej gospodarzowi - pomazanić, to i poszczególne majątki powrócą do gospodarzy ziemian. Albowiem tylko z części może się złożyć całość. Święta Rosja może istnieć jedynie w oparciu o uświęcone prawo własności.
GENERAL: Dziękuję.
DELEGAT PRZEMYSŁOWCÓW: Wasza ekscelencjo, w imieniu przemysłowców mam zaszczyt wyrazić przekonanie, że rozbite środki przemysłowe mogą być odbudowane i zostaną odbudowane rękami prawnych właścicieli.
GENERAL: Dziękuję.
FOLGIN: Pozwólcie wasza ekscelencjo zapytać w imieniu inteligencji pracującej: jakiej monarchii mamy się spodziewać?
GENERAL: Dzięk... Co?
FOLGIN: Jeśli konstytucyjnej, to całym sercem witamy, ale jeśli samowładztwo... (General patrzy na Folgina, oczy wylazły mu ze wszelekrości, sztyja sinieje. Wylatuje do gabinetu, za nim Zakatow i inni).
MALININ: Panie Folgin, cóż za nietakt.
FOLGIN: Całe życie marzyłem o konstytucji.
MALININ: A ja całe życie walczyłem z konstytucją.
(Wszyscy wychodzą. Malinin niespostrzeżenie zostaje).
MALININ (do Panowej): Droga moja, więc dziś tańczymy do rana?
PANOWA: Do wschodu słońca.
MALININ: Pani jest moim słońcem (całuje ją w rękę).
(Wchodzi Kutow).
KUTOW: Panie pułkowniku, cóż to... Jego ekscelencja czeka... Pan się zapomina. Nie jestem pańskim adiutantem.
MALININ: Dobrze. Zapamiętam to (wychodzi).
KUTOW (gniewnie): Ślicznie. Ja też zapamiętam... Pawło Pietrowna! Albo ja, albo on...
PANOWA: Tak? A jeśli ani pan, ani on?
KUTOW: Pawło Pietrowna — to niebezpieczne żarty.
PANOWA: Niby dlaczego? Rozpatrzmy jeszcze kilka kombinacji.
KUTOW: Na przykład?
PANOWA: Na przykład, jeśli on, a nie pan?
KUTOW: To go zabije.
PANOWA: A jeśli i pan, i on?
KUTOW: To panią zabije.
PANOWA: O! tyle trupów w ciągu jednego dnia?
KUTOW: Pawło Pietrowna, ostrożnie. — Materiały wybuchowe! Ja wiem o pani kontaktach z czerwonymi.
PANOWA: Wszyscy wiedzą dlaczego pracowałam u czerwonych.
KUTOW: No, tak. (Cicho). Dziś przyjdzie pani do mnie, albo tamtą sprawą zainteresuje się kontrwywiad. Za osiem godzin.
PANOWA: Ach! (przez zęby). Dobrze... (Kutow całują ją w rękę i wychodzi. Wchodzi Lubow).
LUBOW: Przyszedłem do was od Romana... Po raz ostatni...
PANOWA: Czyżby — ostatni?
LUBOW: Przyszedł wyrok?
PANOWA: Przyszedł.
LUBOW: Gdzie jest?
PANOWA: W teczce pułkownika Kutowa.
LUBOW: Na pewno?
PANOWA: Tak, tak!
(Wchodzi Kutow)
KUTOW: Niech pani kończy. Idę do do- mu.

MALININ: Nic panu nie powiem.
MALININ: Czy pani rzeczywiście nie jest krewną porucznika Jarowego?
(Lubow milczy).
(Malinin bierze słuchawkę telefonu). Dwa- naście. Czy jest u was porucznik Jarow? Proszę natychmiast do mnie (kładzie słuchawkę), więc pani odmawia odpowiedzi? (Lubow milczy. Wchodzi Jarow).
JAROWY: Luba...
MALININ: To pańska krewna?
JAROWY: Zona.
MALININ: Ach tak? Nie wiedziałem.
JAROWY: O co chodzi?
MALININ: Pańska małżonka zdradza wielkie zainteresowanie naszymi papierami.
JAROWY: A! Więc to tak!... Proszę wybaczyć pułkowniku, to mały dramat rodzinny. Moja żona jest chorobliwie zazdrosna. Po prostu nieszczęście! W mojej korespondencji poszukuje listów od kobiet. Podejrzewa, że bileciki miłosne przychodzą adresowane na biuro. Luba! Chodźmy stąd!
(Jarow i Luba wychodzą. Z ulicy słychać hymn, auta).
MALININ: Jego ekscelencja. (Uroczyście powitanie głównodowodzącego. Straż honorowa. Muzyka. Przedstawiciele Ententy. Delegacje. Matuszka podaje chleb i sól).
ZAKATOW: Zechciejcie wasza ekscelencjo, nasz orle - komendant, szybując nad Rosją — przyjąć wyrazy hołdu z okazji zwycięstwa nad Selezniewką. Te tysiąc jeńców, zdobyte setki ognionośnych armat i kulomiotów — to gwarancja, że bliski już czas, kiedy lud rosyjski wypędzi z ojczyzny zdrajców i rozbójników, wkroczy do matki Moskwy i przy malinowym dźwięku jej niezliczonych dzwonów — zwróci swemu prawowitemu władcy tron i ojczyznę.

PANOWA: Dobrze. Proszę poczekać na bulwarze. Zaraz będę.
 KUTOW: Merci. Czekam. (wychodzi, spotyka w drzwiach Lubę. Luba zatrzymuje się, patrzy za nim, Wchodzi Jarowy).
 JAROWY: Pawło Pietrowna, generał prosi panią do siebie z prasą zagraniczną. (Panowa odchodzi).
 Poczeka tu przysia? (Luba chce odejść, Jarowy zagradza jej drogę).
 Poczeka.
 LUBOW: Aresztujesz mnie?
 JAROWY: Luba... Boże mój... Skończ z takimi pytaniami. Czy spotkaliście się poto, żeby się rozstać? Mieję oczy otwarte. Od miesiąca co noc łązę pod twoimi oknami...
 LUBOW: Dwa razy cię nie było.
 JAROWY: A... kiedy?
 LUBOW: Kiedy zasiadałeś w sądzie. A rano wisielei na latarniach...
 JAROWY: Luba, gdzie jesteś ty, która ufałaś mi bezgranicznie?
 LUBOW: A ty gdzie?
 JAROWY: Tu, z tobą. Z tą samą prawdą.

LUBOW: Prawda jest po mojej stronie.
 JAROWY: Zamienili ci ją. Wytrawni oszuści. A ja ten sam, co dawniej, zaklinam się.
 LUBOW: Ja też do niedawna zaklinałam się na twoją pamięć nienawidzić tego, czym jesteś obecnie.
 JAROWY: Za cóż ta nienawiść?
 LUBOW: Za co?
 JAROWY: Wysłuchaj mnie, jak dawniej słuchałaś.
 LUBOW: Kogo innego wówczas słuchałam.
 JAROWY: Ty mnie nie słuchasz. Jesteś czymś wzburzona.
 LUBOW: Ach, znam twój biedny repertuar: jesteśmy tchórze, pseudo-rewolucjoniści, zaprzedałymi sojuszników, jesteśmy ślepi pacyfiści, Kaimi, bratobójcy, czarnoseci...
 JAROWY: Jeszcze gorzej: u nas chociaż wiara i patriotyzm, a u was tylko własna skóra i brzuch.
 LUBOW: Żegnaj (chce odejść).
 JAROWY: Poczeka. Za mało czytałaś, Luba.

LUBOW: Tak, a ty za mało widziałeś.
 JAROWY: Raczej za dużo. Szliśmy do ataku pod Zamościem. W pewnej chwili garstka tchórzów podnosi krzyk: „Precz z wojną!” Jeden pchnął mnie bagnetem w plecy, drugi posłał kulę w rękę i w nogi. Zabrali mnie Niemcy, wyleczyli, pokazali, jak naród, co z dawienawna zdobył sobie wolność, o której nam się jeszcze nie śniło — jak ten naród robi teraz prawdziwą rewolucję i stoi na straży kultury. Dla tej wolności — jeśli pamiętasz — nie oszczędzałem nigdy siebie ani ciebie. Nie będę oszczędzał i tych, którzy zasargali tę wolność i zatopili naród we krwi. Wojna do końca...
 LUBOW: Pod komendą tych samych żandarmów...
 JAROWY: To garść skazańców. Zeschle liście niesione wiatrem. Już wnet obejdziemy się bez nich.
 LUBOW: Macie swoich katów.
 JAROWY: Kaci — tam.
 LUBOW: Na waszych latarniach?
 JAROWY: To prawo frontu. Ja ciebie nie puszcę na drugą stronę. Nie poto cię odna-

lazem. Przecież to wbrew naturze — iść nam różnymi drogami. Nasze spotkanie nie będzie rozstaniem.
 LUBOW: Gorzej. Nie idziemy różnymi drogami. Zderzyliśmy się na jednej i ktoś z nas musi się stoczyć.
 JAROWY: Luba, ja do tego nie dopuszczę.
 LUBOW: Cóż — ty! Jesteśmy już innymi ludźmi. Jestem silna, a ty bankrut.
 (Wbiega Jelisatow. Na ulicy gwar. Wchodzi parę osób, między innymi Panowa).
 JELISATOW: Panowie, nieszczęście! Pułkownik Kutow zabity.
 GŁOSY: Jak?... Gdzie?...
 JELISATOW: W tej chwili, tam za rogiem, na bulwarze. Musieli go czymś ogłuszyć.
 GŁOSY: Ograbili?
 JELISATOW: Nie, tylko teczkę skradziono.
 (Jarowy patrzy na Lubę i Panową).

KURTYNA
 Konstanty Treniew

Paulina Czyżowa

AMATORSKI TEATR ROBOTNICZY

(Artykuł dyskusyjny)



„Próba teatralna” Fot. Urbanowicz, Film Polski



„Bywa i tak na świecie” B. Prusa — sztuka wystawiona w ramach akademii 1-majowej w P.Z.P.B. nr 16

Teatralne zespoły świetlicowe łódzkie przygotowały jako czyn przedkongresowy szereg pełnych sztuk z repertuaru klasycznego i przeróbki sceniczne „Zemsta” Fredry, „Skapiec”, Moliera, „Skalmierzanki”, „Matka Gorkiego i inne.
 Obejrzenie paru tego rodzaju przedstawień nasunęło nam kilka uwag, które przedstawiamy jako dyskusyjne. Nie mamy bowiem prawa sądzić z jednej strony, że forma pełnospektaklowej sztuki na scenie robotniczej stanowi jakąś stałą tendencję polityki kulturalnej Związków Zawodowych wobec teatru ochotniczego, a z drugiej, że osiągnięcia, jakie zdobyli w tym zakresie teatry ochotnicze łódzkie, są miarą osiągnięć teatru ochotniczego w Polsce w ogóle. Raczej przypuszczamy, że sprawa jest ciągle płynna, zespoły, jak wemy, znajdują się w fazie organizacji, a metody i cele teatru robotniczego — nie są dość jasno określone. Na razie obchodzi nas stan obecny, a raczej tendencje i kierunek rozwoju na czas najbliższy.
 Od dwóch czynników musimy tu zacząć. Po pierwsze — dotychczasowe prace zespołów teatralnych na terenie fabryk wykazały żywiołowe, entuzjastyczne wprost dążenie młodzieży robotniczej do wyzucia się w sztuce. Nie tylko zresztą młodzieży. W niektórych zakładach pracy, posiadających jakieś przedwojenne tradycje amatorskiego teatru — garną się do zespołów i starsi, zamiłowani teatromani. Młodzież robotnicza, posiadająca przeważnie oprócz pracy w fabryce — obowiązki szkolne, poświęca z zapamiętaniem każdą wolną chwilę pracy przygotowawczej w zespołach teatralnych. Czynniki tu są nie tylko aktorzy przygotowujących sztuk. W świetlicy wykonuje się rekwizyty i dekoracje i nie rzadko stroje. Po przedstawieniu zresztą cały zespół zakasowuje rękawy, uprząta dekoracje przewozi sprzęt — jeśli przedstawienie odbywa się poza terenem świetlicy.
 Duga sprawa obok widocznym w samym zespole tęsknoty i zamiłowania do sztuki — to mobilizujące dla sztuki teatralnej w ogóle — znaczenie teatru robotniczego w zakładach pracy, w masach robotniczych. Obok prywatnych zainteresowań osiągnięciami bliższych i towarzyszących pracy, gra tu rolę swoisty patriotyzm fabryki — „nasza fabryka gra”. Zainteresowanie własnym teatrem świetlicowym przenosi się oczywiście i na teatr zawodowy, wyczuła na jego problematykę artystyczną. Teatr ochotniczy — nie będzie chyba przesadą twierdzenie — wychowuje robotniczą publiczność teatralną, tego miłycego wciąż jeszcze „masowego widza”, o którym tyle się słyszy i mówi.
 Tę zresztą sprawę ostatnią można by poszerzyć i wskazać na dużą rolę teatrów robotniczych, na całe środowisko, na całe dzielnice robotniczego miasta, młodzież szkolną, wreszcie środowiska małomiasteczkowe, w których istnieją teatry amatorskie i środowiska wiejskie — odwiedzane przez zespoły robotnicze.

Problemy, których tu musimy dotknąć, są mimo swej obiektywnej ważności dość drażliwe, a to i dla teatrów zawodowych, i dla mniej lub więcej świadomego kierownictwa artystycznego ruchu na terenie Związków Zawodowych.
 Teatry ochotnicze na prowincji łódzkiej — są to rzeczy znane nam z relacji działaczy kulturalnych — pełnią nieraz funkcje teatru zawodowego, zastępują go. Odczuwany dotkliwie brak kulturalnych rozrywek i artystycznych przeżyć zmienia tam zespoły ochotnicze na niemal stałe teatryki, grające regularnie jak zespoły zawodowe i ściągające masy publiczności z miasteczka i okolicy. Zespoły łódzkie wyjeżdżające na wieś zatrzymywane są we wsiach znajdujących się po drodze, na trasie do wyznaczonego celu, ściągane do wsi sąsiednich, gdzie powtarzają przedstawienie, choć nie leżało to w planie wyjazdu.
 Poza tym szkoła podstawowa odczuwa tak dalece brak teatru klasycznego szkolnego, typu np. radzieckiego Teatru Młodego Widza, że wykorzystuje niedoskonałe przecież robotnicze spektakle sztuk „obowiązkowych” dla swojej młodzieży. Widzieliśmy salę świetlicową PZPB Nr 1 nabitą przez młodzież szkolną podczas przedstawienia „Zemsta” Fredry.
 Nie chcemy tu oceniać tych zjawisk, a stwierdzić tylko ogromne i wielostronne dążenie do przeżywania sztuki teatralnych w masach robotniczych, chłopskich i drobnomiasteczkańskich.
 Czynniki ten sprawia, że praca zespołów teatralnych robotniczych staje się ważną nie tylko jako praca kulturalna grupy, kształtująca styl życiowy, poziom umysłowy i zainteresowania artystyczne literackie poszczególne członków zespołu, a więc nie tylko jako praca kulturalno-wychowawcza grupy, ale uzyskuje ważność obiektywną z względu na osiągnięcia artystyczne, ich rodzaj, ich z kolei oddziaływanie społeczne. Ważne są — rzecz jasna — obie sprawy, być może że częściowo lub nawet w znacznej mierze pokrywają się. Zajmijmy się jednak drugą sprawą — a więc nie dydaktyczno-wychowawczą funkcją pracy teatralnej dla samych zespołów, a sprawą realnych osiągnięć artystycznych teatru robotniczego.
 Są one nierówne, a więc uogólnienie może wywołać słuszne zarzuty niesprawiedliwej i krzywdzącej oceny. Nie chodzi nam tu jednak o to lub inne przedstawienie — nie piszemy recenzji, jak np. zamieścił w Nr 25 „Dziennika Literackiego” Zdzisław Kwieciński — z pokazów teatrów ochotniczych na Kongresie Związków Zawodowych. Wydaje się, że samo „wywołanie z lasu” problemu teatru ochotniczego — będzie miało swoje małe znaczenie w okresie, gdy czynny udział mas ludowych w kulturze narodowej staje się sprawą tak doniosłej wagi, sprawą i dyskutowaną, i podlegającą publicznej ocenie.
 Skoro jednak zaczniemy mówić o kierunku pracy teatrów ochotniczych i ich osiągnię-

ciach, wejdziemy w tylekroć dyskutowaną i bodaj nierozwiązaną sprawę — repertuaru dla teatrów ochotniczych.
 Związki Zawodowe wydają specjalną bibliotekę teatru świetlicowego, gdzie obok jednoaktówek z literatury klasycznej, przeróbek scenicznych, powieściowych i nowelistycznych mieszczą się też nowe specjalnie przez literatów napisane sztuki lub sztuczki.
 Omówienie tej biblioteki repertuarowej teatru świetlicowego pozostawiamy na inną okazję. Już jednak przejrzenie jej zawartości zwraca uwagę na brak w niej lub bardzo nieznaczne uwzględnienie rodzaju montażu widowiskowego, czy wodewilu społecznego, form teatralnych, które zdawałoby się najbardziej odpowiadają możliwościom zespołu ochotniczego i sceny świetlicowej, często prymitywnej pod względem technicznym. Przeważają natomiast sztuki i sztuczki pełne — wymagające wyrobionych aktorów i wielkiej sceny.
 Łódź nie posiada ani jednej wielkiej sali teatralnej dla teatrów ochotniczych. Mała scenka w domu Związków Zawodowych, nie posiadająca żadnych urządzeń teatralnych, nie jest wystarczająca. Nim powstanie teatr robotniczy, jaki jest w planie budowy Związków Zaw. — teatr nowoczesny i ogromny — zespoły muszą się gnieździć na swoich salkach estradowych. Cóż jednak robią? Wystawiają ogromne sztuki, wymagające sceny obrotowej, maszynierii do zmian dekoracji, a przede wszystkim aktorskiego wyrobienia. Tak np. PZPB Nr 8 wystawiły „Matkę” Gorkiego w adaptacji scenicznej i reżyserii młodego reżysera Sykaję. Całość, przy nieustannych zmianach dekoracji, przy monumentalnych ustawieniach grup — wlokła się bez nerwu dramatycznego, aby ożywić się tylko na moment — a to właśnie w sztucznie wmontowanej scenie baletowej. W żywołowym tańcu z rosyjskiego folkloru wielki zespół sceniczny ożywił się i rozruszał, wreszcie wiedział, po co zjawił się na scenie, wykonał to, co było mu bliskie i bezpośrednio dostępne w przeżyciu, podczas gdy inne sceny były przeważnie rezonerskim recytowaniem ról. „Matka” Gorkiego mimo ogromnej wartości ideologicznej dla zespołu, który nad nią pracował, nie była scenicznym osiągnięciem, a powtórzenie w świetlicy przedstawienia przygotowanego z ogromnym nakładem pracy i realnych kosztów — nie jest w ogóle możliwe wskutek trudności technicznych. Znakomita powieść okazała się w tej adaptacji całkowicie niescienna i zawiodła, choć nie zawiodła publiczność fabryczna na jednym spektaklu w Teatrze Wojska Polskiego.
 Inne lecz podobne zastrzeżenie — obudziła np. „Zemsta” Fredry — pokazywana młodzieży szkolnej w PZPB Nr 1. Przedstawienie przygotowało z wyraźną rutyną aktorską i reżyserską, z wyraźnym oparciem się o tradycję zawodowej sceny — aktor Teatru Powstanieckiego — Zygmunt Zintel. Osiągnięcia gry i dykcji w wygłoszeniu klasycznego

wiersza Fredry przez młodych chłopców — robotników budziły niekiedy podziw. Ale gdyby to nie teatr robotniczy, gdyby nie zapal młodzieży, gdyby nie głębokie przejęcie się każdą rolą — powiedziałoby się: sżmira, straszliwa prowincjonalna sżmira, którą chłona dzieci szkolne z VI, VII klasy, na której uczą się literatury polskiej i Fredry, którą wozą się chłopcom razem ze skrzyniami tandetnych kontuszów, czamar szlacheckich i wydekoltowanych sukni, w które ubierają się na scenie aktorki — robotnice. Coś tu jest nie w porządku — stwierdzamy przy całym szacunku dla inicjatywy i pracy w przygotowaniu tego rodzaju kulturalnych imprez. Czy nie tworzy się tu jakiejs osobnej sztuki dla robotników — nie prowadząc ich, lecz odcinając od dobrego teatru zawodowego (publiczność robotnicza w Łodzi bardzo jeszcze opieszale uczęszcza do teatrów łódzkich, które dotąd należały do najznakomitszych teatrów w Polsce)? Czy nie gra tu roli w kierownictwie podobnymi imprezami pewien snobizm robotniko-mański? Prawdziwy Fredro, prawdziwy Moliere na scenie robotniczej. A w gruncie rzeczy ani Fredro, ani Moliere, ani także Gorkij — jeżeli nie założymy sobie ze względów swoistej filantropii kulturalnej niesamowitego minimalizmu artystycznego i koniecznego prowincjonalizmu amatorszczyzny teatralnej. W dążeniu do wyrugowania repertuarowej sżmiry z teatrów robotniczych posunięto się do skrajności poglądu, że robotnicy na tym etapie wyrobienia mogą i nawet powinni grać wszystko, wszystko to, nad czym z wielkim nieraz wysiłkiem pracować muszą fachowe zawodowe zespoły teatralne wyposażone nie tylko w techniczne, ale przede wszystkim intelektualne narzędzia opanowania sztuki. Posunięto się do skrajności, która nie wiadomo, czy podnosi świadomość i wyrobienie kulturalne zespołów robotniczych na tyle, aby równoważyło to porażki osiągnięć artystycznych, teatralnych.
 Właściwa droga repertuarowa dla teatrów ochotniczych powinna iść raczej po linii wyzucia się kulturalnego w treściach artystycznych, bliższych zespołom robotniczym i robotniczej publiczności, w treściach własnych i mogących w realizacji osiągnąć nie jakieś specjalne, amatorskie umniejszone wartości — ale prawdziwe wartości sztuki.
 Może jedną z dróg wskazywałby widowiskowy element folkloru — przede wszystkim polskiego, a potem i obcego. Dalej byłaby chyba droga dla ludowego wodewilu, rewili czy społecznego kabaretu — nazwy oczywiście przybliżone i orientacyjne.
 Zapowiedź Min. Sokorskiego na Festiwalu Sztuki Ludowej o powołaniu do życia Centrali Teatrów Amatorsko-widowiskowych, posiadającej warsztat teatralno-wzorowy — daje realne wreszcie nadzieje na zmianę dotychczasowej w rezultatach nie najlepszej polityki kulturalnej kierownictwa świetlic Zw. Zawodowych.

Jakub Wojciechowski

KARTKI Z KALENDARZA



Jakub Wojciechowski w Barcinie

Pracuję już ponad 50 lat, w różnych zawodach. Byłem już ceglarem i palaczem na lokomotywie. Pracowałem jako górnik w Saksonii i Westfalii, robotnik portowy w Hamburgu. Łazikowałem jakiś czas jako pomocnik do kręcenia karuzeli i prowadziłem wozy tramwajowe w Magdeburgu. Opuściłem kraj w 1899 r. dzieląc losy chłopów-emigrantów. Wróciłem w r. 1924. Odtąd pracowałem w Wapienniu. Po wojnie czynny byłem głównie jako sekretarz najpierw PPR, a później PZPR w Barcinie. Przeprowadziliśmy u siebie reformę rolną, referendum, wybory do sejmiku, ugruntowaliśmy autorytet partii robotniczej, szczególnie po zjednoczeniu. Ale nie było to łatwe. Historia ostatnich lat w maleńkim Barcinie na Pomorzu toczyła się szybko, ale...

PIERWSZE KROKI

W 1945 r. założyliśmy pierwsze koło PPR w Barcinie, przy udziale 37 członków. Na drugim z kolei zebraniu, kiedy to zostałem wybrany członkiem miejskiej i powiatowej Rady Narodowej w Szubinie, zyskałszy w partii ponad 100 nowych towarzyszy. Byli to przeważnie robotnicy z Wapienna, którzy tam pracowali w kamieniołomach. Kiedy fabryki w Piechcinie i Wapienniu ruszyły na dobre, udało się bez trudu zorganizować tam koła fabryczne. A one same już wybrały sobie własne komitety. Na nas spadał obowiązek tworzenia gromadzkich kół partyjnych. Odbiliśmy szereg zebrań, przeważnie w pałacach byłych jaśnie wielmożnych, i szeregi nasze niestannie rosły.

Pracowałem w Wapienniu jako robotnik chyba ze dwadzieścia lat. Nie pomijam zatem w publicznych wypowiedziach faktów wzrostu robotnika w czasie kapitalizmu. Przypomniałem słowa dra Ludwika Krzywickiego, jakiego wygłaszał do nas — robotników różnych narodowości w Hamburgu, wykładając nam Marks'a i Engels'a. Nie pomijał także słów Bebla i Liebknechta, których referaty miałem sposobność słyszeć. W roku 1911 na zebraniu tramwajarzy w Magdeburgu mówił Liebknecht, że zgina cesarze i królowie, księżta i szlachta, a lud pracujący odziedziczy całą ziemię i wszystko, co się na niej znajduje. Wskazał palcem na mnie i powiedział, że on się tego już nie doczeka, natomiast ja do czekam się na pewno. Tak się też stało...

PIERWSZE OPORY

Jakoś na krótko przed niespodziewanym zajęciem, które chcę opisać, dostaliśmy zaproszenie na uroczystość poświęcenia sztandaru pułku stojącego w Inowrocławiu. Mój przełożony pojechał już w przeddzień, ja natomiast zostałem. Miałem zebranie partyjne w terenie. W nocy zbudziły mnie strzały. Sądziłem, że to ORMO ma ćwiczenia. Rano wpadł do mnie zdyszany kolporter naszej prasy i powiada, że lokal partii zdemolowany. Z twarzy widać było, że chłop nie żartuje.

Na ulicy 4-go Stycznia zatrzymał mnie któryś z obywateli dziwiąc się, że żyje. Słyszałem bowiem, że Wojciechowski zabił tak sumiennie, iż więcej PPR-u nie ujrzy... Drzwi rozbite, teczki porozrzucane, telefon uszkodzony, kasa z pieniędzmi skradzioną. Na szczęście nie było w niej zbyt dużo pieniędzy. Zmartwiłem się poza wszystkim brakiem doskonałego pióra, jakie mi tak szczególnie sprezentowała żona dra Boya-Zeleńskiego.

Nad biurami miał mój zwierzchnik pokój syplalny. Sufit podziurawiony z broni maszynowej. Zaproszenie uratowało mu życie. Wziąłem się do młotki i gwoździ. Stolarkę znam i wspólnie z personelem doprowadziłem lokal do porządku. Do kancelarii przychodził ciekawo mieszczanie. Niejedni mówili: na co wam to wszystko potrzebne na stare lata. po co się narażać? Odpowiedziałem, że od 1900 roku jestem w radykalnym ruchu robotniczym i nigdy tchórzem nie byłem. Cóż zatem byłbym wart i ja, i moja przeszłość, gdybym stchórzył w Polsce Ludowej?

NASZE MIASTECZKO

W naszym Barcinie 80 proc. domków zbudowali robotnicy, żeby nie jeździć 25 km do pracy w Wapienniu, jak się to zdarza ludziom z Szubina. Te domki budowali robotnicy, którzy odejmowali sobie od ust, by mieć dach nad głową. Te domki trzeba było reperować,

tymczasem smoła i lepek dochodziły do nas raz na dwa lata. Podobna sytuacja była z naszym domem, gdzie mieści się partia. Zaczęły powoli odpadać sufity. Dom poniemiecki, lokatorzy płacili 12—15 zł miesięcznie. Znikąd pieniędzy. W ubiegłym roku zacząłem bić na alarm we wszystkie dzwony. Przeproszałem, wszystkie dzwony zabrał nam Niemcy, tylko jeden w swoim kościele zostawił i nim się przy ważnych okazjach posługujemy.

Krzyczałem na wszystkich zebraniach i konferencjach powiatowych i wreszcie się udało. Dostałem polecenie zamówić majstra, magistrat powiedział, że pokryje koszty, pieniądze dała spółdzielnia „Samopomoc Chłopska”.

Pewnego razu przybył do nas inżynier budowlany i postawił sprawę budowy nowych domków robotniczych, bo będziemy się przecieć uprzemysławiać. Po reformie rolnej dostaliśmy śliczne tereny pod rozbudowę miasta ale jak dotąd jeszcze ich nie wykorzystaliśmy.

W ostatnich miesiącach udało się nasze miasto zradiofonizować. Niemal każdy obywatel posiada w swym mieszkaniu głośnik. Należałem do komitetu elektryfikacji — zachęcałem ludzi, żeby nie odmówili założenia głośnika. Obywatele chcieli, zgadzali się, ale na posiedzeniu komitetu elektryfikacji każdy bał się podpisać weksel, bo kto podpisał, ten musiał sam zapłacić. Zdarzyło się, że przewodniczącemu komitetu elektryfikacyjnego zajęto jego maszynę do wiercenia dziur, którą wypożyczył kowalowi, za to — że nie zapłacił za głośnik. I tu znowu przy pomocy MRN udało się uzyskać zdjęcie pieczęci z maszyny. Dziś mamy prąd przeciągnięty przez całe miasteczko. Nasze miasteczko jest w trudnym położeniu. Wydatki wielkie, a do-

chody małe. W gazowni brak remontu od 8 lat.

PRACA I ZWIĄZKI ZAWODOWE

Po kilkumiesięcznej pracy w partii zauważyłem, że niemało młodzieży wałęsa się po ulicach Barcina bez żadnego zajęcia. Opracowałem specjalny referat, w którym zaznaczyłem, że Polska zniszczona w 80 proc. potrzebuje młodych rąk do pracy, a tymczasem całe gromady wystają na rynku bez zajęcia. Fabryka w Wapienniu już odbudowana i czeka, aby jak najwięcej ludzi się do pracy zgłosiło. Niektórzy przerywali mi referat, stawali zarzuty w wolnych wnioskach, ale ostatecznie ulice zaczęły świecić pustką. I beczynna młodzież zrozumiała, że obecnie nie będzie pracować w Wapienniu na dawne go jej właściciela kapitalistę i milionera. Tu muszę zaznaczyć, że Wapienna to jest historia naszego robotnika po wojnie. Robotnicy uruchomili fabrykę własnymi rękoma, na pierwsze wynagrodzenie czekali przeszło 3 miesiące. Gdy wszystko już szło pełną parą Zjednoczenie zdobyło się na przysłanie dyrektora, ale musiano go zawiesić w czynnościach z przyczyn, o których lepiej nie mówić. Następca jego prowadzi fabrykę dobrze. W ubiegłym roku dali robotnicy państwu 3 miliony zaoszczędzonych pieniędzy. Dziś biorą udział we współzawodnictwie pracy. Jeden z robotników tak wielce odznaczył się w wydajności pracy, że Z. Z. mianowało go swoim sekretarzem na zakładach w Piechcinie i Wapienniu. Dziś obie fabryki posiadają swoje sale zebrań, biblioteki i czytelnie, orkiestrę, a co najważniejsze sprawnych robotników, którzy mimo ciężkiej pracy mają czas na kulturę, co dawniej nie było do pomyslenia.

ZJEDNOCZENIE PARTII ROBOTNICZYCH

Na naszym terenie istniała PPS jeszcze przed wojną i obudziła się w dwa lata po jej zakończeniu. Pierwszy jej założyciel rzadko kiedy był trzeźwy, aż w końcu dostał się za kraty więzienne za to, że przekroczył siódme przykazanie. Jego miejsce objął pewien kolejarz. Odtąd wpływy lewicy w PPS-ie znacznie się wzmożyły. I chociaż trudności w nawiązaniu współpracy z naszą partią jeszcze były, to jednak z dnia na dzień opory malały.

W czasie, kiedy już było wiadomo, że obie partie mają ściśle współdziałać, a w niedługim czasie połączyć się, zostałem zaproszony na plenarne posiedzenie PPS. Jako gość przysłuchiwałem się ciekawie obradom. Gdy mówiono o zbieraniu pieniędzy na sztandar — poprosiłem o głos. Postawiłem propozycję, żeby się wstrzymać ze składką na sztandar, bo obie partie będą niebawem połączone, chcemy mieć przecież jednolitą klasę robotniczą. Większość rozumiała już doniosłość i potrzebę zjednoczenia ruchu robotniczego, a tylko nieliczni z uczestników przyjmowali moje słowa śmiechem.

Po jakimś czasie sprawa współpracy ruszyła. Kosztowało nas wiele trudów rozpoczęcie wspólnej pracy. Trzeba było oczyścić szereg. Kogóż z nich nie było? Po usunięciu prawicowych elementów w PPS-ie obradowaliśmy już wspólnie. Nadchodziły bowiem nowe prace. Zdarzało się nieraz, że dni i noce przesiadywaliśmy rozważając metody rozwiązywania rozmaitych zadań, które też wspólnymi siłami wykonywaliśmy.

Obie partie połączyły się uroczystie i od szeregów miesięcy mamy w Barcinie Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą.

Jan Huszcza

Satyra i humor przed publicznością

Akcja, której tak szeroki rozmach nadała Spółdzielnia Wyd. — Ośw. „Czytelnik” pod zawioleniem „Autorzy wśród swoich czytelników”, a która w innych wypadkach nosi po prostu nazwę wieczorów lub poranków autorskich czy dyskusyjnych — miała dwa cele: zlikwidowanie anonimowości odbiorców słowa drukowanego — z jednej strony, a z drugiej pokazanie temu odbiorcy żywego autora, rozproszenie panoszącego się jeszcze do niedawna młodopolskiego mitu o jakimś jakgdyby bezcielesnym, wyrwanym z otoczenia, twórcy.

Ponieważ — jak dotąd — miałem dużo występów autorskich, lecz prawie wyłącznie w Łodzi, zaś poważniejszy wyjazd w teren zdarzył mi się zupełnie niedawno, niestety, nie umiem oprzeć się pragnieniu napisania o tym, żywiąc przy tym cichą nadzieję, że coś z tego opisu przyda się dla wyciągnięcia wniosków ogólnych.

W Nowym Mieście nad Pilicą, gdy — ku żywemu, jak mi się wydawało, żalowi słuchaczy — zakończyłem wreszcie czytanie felietonów, humoresk i wierszy i próbując nawiązać rozmowę, zwróciłem się jak zwykle, z prośbą o stawianie pytań — ktoś do wzięcia odpowiedział, że się boi, no, bo na razie się ewentualnie satyrykowi nie jest rzeczą bezpieczną: a nuż, albo tu na sali, albo przy innej okazji wykpi pyającego?

Wtedy musiałem coś niecoś opowiedzieć o tym: jak należy rozumieć i jak rozumieć rolę i zadania satyry.

Wyglądało to mniej więcej tak: Praca pisarza satyryka ma wielkie znaczenie społeczne. Nie ma nic wspólnego z beztroską zabawą w „zjeżdżanie”. Chodzi takiemu pisarzowi o wyszydzenie demonstrowanie świata ujemnych wartości, świata, ludzi, z którymi jesteśmy w walce klasowej. To zjadliwie, bo jowe demonstrowanie przez satyrę uczy szybko ucjemnych ludzi czy ujemne zjawiska życiowe dostrzegać i poznawać. Pisząc, staram się przedstawić zjawiska, będące w mniejszym lub większym stopniu typowymi. Demaskowanie pojedynczych faktów czy też poszczególnych osób to już raczej rzecz dziennikarza, rzecz prasy, docierającej do szerszego czytelnika, ukazującej się w różnych miastach, ba, nawet miasteczkach (choćby w formie mutacji).

Ze uogólnianiem osiąga zamierzony cel, o tym przekonaliśmy się — choć właściwie nie potrzebowałem się przekonywać — w godzinę później. Mianowicie, gdy w liczniejszym towarzystwie, — owianym ciepłym, wilgotnym zmierzchem majowym — wyszliśmy na spacer, jeden z moich rozmówców nachyla się do mnie i szepcze:

— Ależ dobrze go pan przedstawił!

— Kogo? pytam z nutą tzw. zdziwienia w głosie.

— No, tego... tego... (tu wymieniono nazwisko jednego z miejscowych działaczy)...

— Panie — odpowiadam — przecież ja go nigdy na oczy nie widziałem, a w waszym mieście jestem po raz pierwszy, choć absolutnie nie chcę przez to powiedzieć, że po raz ostatni.

— Wiem, że go pan nie zna... Ale...

W rozmowie tej chodziło o felieton pt. „Sodowiarze”. Felieton na temat tych ludzi, którym ze względu na stanowisko uderza do głowy tzw. woda sodowa. Felieton ten czytałem nieraz, czytałem go na prowincji, czytałem go w grudniu ub. roku w Łodzi, w b. Widzewskiej Manufakturze, przed kilkoma tysiącami robotników, w Państwowych Zakładach Sztucznego Jedwabiu w Tomaszowie

Mazowieckim. I zawsze żywiołowy śmiech, przerywające czytanie oklaski. A więc już sam temat! I tu konkluzja: śmiech i żywiołowa reakcja budzi artystycznie opracowany temat bliski szerokim rzeszom. „Humor czysty” (humor czy satyra, mniejsza o to: granica jest tak płynna, że trudno odzielić te pojęcia) „chwytą” gorzej, a wcale „nie chwytają” humor, przeniesiony ze środowiska kawiarnianego, humor poprzetykany nazwiskami ze środowiska autora.

Cenię różne formy satyry i różną jej treść, różne odcienie, od polityczno-społecznej po czynając a na (żeby nie wdawać się w szczegółowe wyliczenia) obyczajowej kończąc. Sam w skromnym zakresie również próbuję różnych form i różnych chwytów. Chodzi mi jednak w tej chwili o pewne niezdrowe, rzucające się swoją jaskrawością w oczy, przerosty, o zbyt wąski krąg tematów, uprawianych przez niektórych utalentowanych kolegów...

Na łamach naszych bardzo niekiedy popularnych tygodników i gazet panoszą się humor, będący właściwie publiczną grzeszczącą korespondencją między literatami.

Panoszą się również utwory, stanowiące jeszcze jedną wersję na temat „trójkąta małżeńskie”. „pani modnej” czy „przepełnionej wątróbki”. Dla kogo to? Bo ja wiem, trudno mi odpowiedzieć: chyba już nawet i nie dla mieszczkańskich odbiorców. Niektórzy autorzy po prostu nie bardzo jeszcze zdają sobie sprawę z tego, czym jest w naszej rzeczywistości satyra, czym humor, walczący o nowego człowieka, o mową obyczajową. Nie bardzo sobie zdają sprawę, albo też — zdają, lecz na razie nie umieją wybrnąć z zakłętą kręgu, nie umieją znaleźć innej, bliższej życiu szerokiej mas tematyki, nie umieją odświeżyć środków wypowiedzi...

Ciągle jeszcze bujnie pleni się u nas kalambur (palme pierwszeństwa tradycyjni trzymają Kraków, miasto nie dających się ongiś bez zdenerwowania czytać „Wróble na dachu”). Kalambur — to najbardziej bezpłodna, jałowa i donikąd nie prowadząca igraszka. Zastrzegam się: miła niekiedy igraszka, lecz — na łyż burmistrza Rzeszowa, — czas pohamować jej nadużywanie!

W Tomaszowie Mazowieckim wiceprezydent miasta, gdyśmy wyszli z domu kultury, wyrecytował satyryczny wiersz Brzechwy. W Nowym Mieście nauczyciel matematyki z tamtejszego gimnazjum, jak się okazało, umie na pamięć dziesiątki satyrycznych wierszy Tuwima. Nie pamiętam już gdzie, pytano mnie o Zygmunta Fijasa.

O co chodzi? Chodzi o to, że satyryków, jak dotąd, najrzadziej wysyła się w teren. A, bo są za trudni — słyszy się tu i ówdzie. Ciągłe jeszcze panoszą się w redakcjach, w instytucjach kulturalno-oświatowych Duiscy demokracji. To oni uważają, że inna musi być literatura dla robotnika, inna dla chłopca, inna dla inteligenta.

Burmistrz Nowego Miasta, człowiek awansu społecznego, opowiadał mi o wrażeniu, jakie odniósł słuchając pewnej mojej, jak mi się wydawało, dla inteligencji zawodowej napisanej humoreski. Rozumiał jej dowcip i intencje tak jak i ja to rozumiałem. I jeszcze co mi mówił ów burmistrz, gdyśmy schodzili schodami tamtejszej szkoły powszechnej? Ze właśnie dwa czy trzy lata temu on te schody jako stolarz robił, że — bo żartem teraz jedna z nauczycielek apelowała do niego o fundusze na ich remont — dobrze o tych schodach pamięta. Pamięta, gdyż sam bardzo chciałby teraz mieć siedem lat. Gdy-



rys. S. Cieloch

by je miał, to by mu obecny czas pozwolił na normalne ukończenie szkół, na co nie pozwoliły mu czasy jego dzieciństwa, jego młodości.

Satyra pomaga prowincji krytycznie rozjeżdżać się w swoim otoczeniu, skrytykować samych siebie, odprężyć. (Niedobrze, że występy autorskie odbywają się w dni powszednie, a że, ze czasem w godzinach zaledwie popołudniowych, ale to wina trudności technicznych, m. in. komunikacyjnych)...

Ludzie nowi, ludzie awansu społecznego, jakże często naprawdę doskonale rozumieją swoje zadania. Np. burmistrz Rawy Mazowieckiej białda nad nieżywością tego bardzo przez wojnę zniszczonego miasta, Marzy o przemysle. Nie tylko marzy, ale już konkretnie zamierza, wespół z innymi, spróbować hodowli drzewek morwowych.

W powiecie rawsko-mazowieckim — jak informował inspektor szkolny ob. Strojowski — zelektryfikowano i zradiofonizowano 10 wsi. W powiecie zorganizowano 20 przedszkoli, w tym znaczna ich część przypada na wsie: wymowne, a zupełnie nowe wydarzenie!

W Tomaszowie jakiś uczeń — syn chłopski — zapytał mnie o moich wiejskich słuchaczy. Zawstydziliłem się... Niestety, musiałem szczerze się przyznać, że o tych nie mi wiadomo, nigdy mi się nie zdarzyła okazja spotkać z nimi. Wierzę, że się zdarzy. Byłoby to nowe doświadczenie autorskie, tak bardzo ważne, bo doświadczenia wynikające z kontaktu osobistego z czytelnikami — jak się okazuje — należą do bardziej cennych i pouczających, niż niejedna recenzja czy kawiarniana dyskusja.

W NUMERZE 27 (206) TYGODNIKA „WIEŚ” z dnia 3 lipca 1949 r.

Witold Łukaszewicz — Pierwsze echa socjalizmu naukowego w prasie polskiej 1846 roku; „O położeniu klasy wyrobniczej w Anglii”; Tadeusz Kubiak — But Generała; Jan Szczepański — O orientację w rozwoju kultury na wsi; Piotr Wyrobek — W roku Mickiewicza; Stefan Ignar — Droga nasza — spółdzielczość; Wanda Leopoldowa — O naukę i prawdę; Jadwiga Iwanowska — Szkoła dla popularyzacji; Władysław Ozga — Budownictwo szkół wiejskich; Józefa Witkowska — Pamiętnik służącej; Stanisław Cieślak — U progu pierwszej sześciolatki w rolnictwie; Wiesław Jajzdryński — Życiorysy górników; Józef Pogan — „Krytyka miłujaca”... wrogów?; Marian Nowakowski — Jeszcze o wyższych studiach korespondencyjnych; Fakty i zdania; 16 ilustracji, 12 stron.

Leszek Kołakowski

NAUKA PRZED SADEM
OBSKURANTAczyli ks. Rostworowski unicestwia
wiek XX

Majowy numer „Przeglądu Powszechnego” opublikował dzieło ks. J. Rostworowskiego pt. „Początek pierwszego człowieka w świetle objawienia i katolickiego poglądu na świat”. Jest to praca prawdziwie nadprzyrodzonej wnikliwości. Jako okaz katolickiego obskurantyzmu — isticie nieporównana. Myśliciel, głowiąc się nad starym konfliktem między nauką i baśnią biblijną o stworzeniu człowieka, konfrontuje orzeczenia obu i niefrasobliwie odrzuca z nauki wszystko, co kłóci się ze słowem Bożym.

Najpierw biada, że katolicy uczeni nie bardzo są skorzy do wierności objawionej legendzie i że „gromadka uczonych, tych zwłaszcza, co z paleontologią i paleoantropologią więcej mieli do czynienia, nie oparła się pokusie czy to złudnych oczywistości „naukowych”, czy sugestii efektywnie skonstruowanych teorii”; inni nieszczęśliwcy, jak powiada, „usiłują wprawdzie trzymać się pewnych nieprzekraczalnych granic prawd, czy to nieomylnie określonych, czy teologicznie pewnych, ale, mimo szczerzych zapewnień prób i wysiłków, nie mogą swoich teorii szczęśliwie przeprowadzić przez cieśniny niewątpliwie katolickich zasad” (str. 310).

A przecież... „musimy... wykluczyć... suzopozycję, że ludzie nie tworzą jednej rodziny, pochodzącej od jednej jedynej pary, ale, że pojawiali się na ziemi w różnych miejscach i czasach, jako owoc ewolucji różnych gałęzi wielkiego drzewa organicznego życia”; błędność tego mniemania jest dowiedziona ponad wątpliwość, gdyż ono „nie da się żadną miarą z katolickimi zasadami pogodzić”.

Po przyjęciu tej bezspornej prawdy stwierdza autor, że skoro człowiek narodził się z małpy, Bóg mógł z nim postąpić dwojako: albo zmienić radykalnie jego ciało na swoiście ludzkie, dając przez to duszy „odpowiednie do godności człowieka materialne jej mieszkanie, albo zostawić je na tym stopniu, na jakim służyło dotąd czysto zwierzęcemu pierwiastkowi życia”. Otóż, zapytuje autor, jeśli przyjmujemy pierwszą ewentualność „czy da się rozumnie uzasadnić ogromny i wieloraki cud unicestwienia formy zwierzęcej, przekształcenia urobionego przez nią organizmu i wiania w ten organizm: duszy ludzkiej? Czyba samo nasuwa się pytanie: Cui bono? Czy taki proceder miał lepiej odpowiadać mądrości Bożej? Czy był lepiej dobrany do uwydatnienia godności człowieka i jego, tak silnie zaznaczonej w objawieniu, odrębności od zwierzęcia? Jeśli jednak pozostawił mu takie ciało, jakie powinien byłby mieć zgodne ze świadectwami nauki, wówczas miałby „wygląd zupełnie małpy, mózg o połowę prawie mniejszy od dzisiejszego człowieka, wargi niezdołne do wydania ludzkiej mowy”. A jednak, pierwszy człowiek — „jak wiemy z dogmatyczną pewnością(!) nie tylko nosił w swej naturze obraz i podobieństwo swego Stwórcy, ale stworzony od pierwszej chwili w łasce nadprzyrodzonej, posiadał uczestnictwo „Bożej natury”. Był i wedle ciała nieśmiertelny”, wobec czego musiałby być piękny, cieleśny, a „jeżeli... chodzi o piękność ludzką jako taką, nie jest prawdą, żeby normy tej piękności były czynnym zupełnie względny” (coż za język niezdarly).

Cóż jednak począć z wykopaliskami, które ukazują nam człowieka pierwotnego, zgola niezgodne z informacjami ducha św. Nie stanowi to dla księdza najmniejszej przeszkody. To tylko nauka! Zaś uczeni, którzy bronili jej postulatów „zapomnieli... że ponad biologią mamy inne, bez porównania pewniejsze dane (podkr. LK), dotyczące początków i dalszych dziejów ludzkiej rodziny. Oto przez ludzkość, w osobie jej pierwszych rodziców — jakkolwiek pojmujemy ich pojawienie się na świecie — przeszła ta straszliwa katastrofa, która nosi miano pierworodnego grzechu. O tym grzechu zaś mówi określony dogmat wiary, że przereń pierwszy człowiek „co do ciała i co do duszy odmienił się na gorsze”.

A więc wykopaliska, to wynaturzenia, jakim uległ człowiek wskutek grzechu pierworodnego! Toteż, jak trafnie stwierdza autor, „dopóki nie obali się faktu, którego obalanie niepodobna, że grzech pierworodny, jak stwierdza cała nauka katolicka, wykoleił ludzkość z dróg zdrowego rozwoju i popchnął ją w dół do moralnego najpierw, ale zarazem i do fizycznego poniżenia, dopóty z danych należycie nie można wyniszczać o początku i wyglądzie pierwszego człowieka”. No bo, proszę, nauka jest bezczelna! „Sama logika systemu pcha ewolucjonistów do tego, do czego mają zresztą serdeczną ochotę, tj. do zaliczenia między bajki, wbrew całej nauce katolickiej, przesłanej i głębokiej opowieści biblijnej, o początku pierwszej niewiasty. Ale gdyby to było dopuszczalne, cóżby nam zostało z ksiąg Mojżeszowych, jeśliśmy zaczęli to z tych, to z innych powodów, a powodów nigdy nie braknie (wreszcie zdanie, któremu niesposób odmówić słuszności! LK) wyrwać z nich kartę po kartce?”

Oszczędźmy przytaczania wywodów o stworzeniu kobiety z żebra adamowego, w której to sprawie „od literalnego znaczenia tekstu odstępować katolikom nie wolno” (miłosierdział). Dowiadujemy się jeszcze z dzieła, że bóg „jedne plemiona lub ich części, z ciężkie przewiny dotykał karą, a niekiedy skazywał i na zagładę...” zaś „inne narody dźwigał w górę, wytworząc w nich typ ludzki, wyższy, niż u innych ludów im współczesnych”. Mamy więc i Herrenvolk w 203-4

FAKTY i ZDANIA

Ciekawe, ale nie dziwi

Może kto z czytelników chce się zorientować we współczesnym życiu religijnym Polski i świata? Nic łatwiejszego, jak zajrzeć do „kroniki religijnej” „Tygodnika Powszechnego”.

W ostatnich „Faktach i Zdaniach” „Wieść” poruszyła tylko sprawę „katolickich przedsiębiorców” (a jednak: osobno związek „katolickich” przedsiębiorców i osobno „katolickich” robotników). Przecież jednak podobnych — nie religijnych zapisków kronikarskich znaleźć można w „T. P.” dużo więcej.



Oto nota o rozwodach w USA... oto wzmianka o „demonologii Ludendorffa” (który został poddany działaniu trzech nadnaturalnych sił: Żydów, jezuitów i masoneerii) — wzmianka niby ironiczna — ale cóż z tego, kiedy wygląda na relację o książce Wimbreda Martiniego „Legenda domu Ludendorffów”; oto znowu triumfalne odkrycie wikariusza apostołskiego w Kiwu, mgr. Ryszarda Claire, który ogłosił „ostry i stanowczy list pasterski przeciw wyszkowii pracy ludzkiej w koloniach afrykańskich”, że „sprawiedliwość społeczna jest potrzebna w Afryce tak samo jak w innych częściach świata...” (patrzcie państwo — ale listu o położeniu robotników francuskich, angielskich, północno- i południowo-amerykańskich żaden wikariusz nie ogłosił, widocznie to „współczucie” dla biednych robotników ma też swoje granice...), itp. itp...

Ciekawy jest dobór... kroniki religijnej. Czy dziwiłaby w zestawieniu z... Ludendorffem np. — wzmianka o procesie Doboszyńskiego? Czytelnik

Na tropie...

Powojenna powieść chłopka nie znalazła dobrego przyjęcia u p. Lichniaka, krytyka literackiego i laureata tygodnika „Dziś i Jutro”. Stawia on jej tysiąc i jeden zarzutów, kierując się przy tym chrześcijańską troską, że powieść chłopka winna stać się „prawdziwym dziełem sztuki”. A tymczasem w artystycznym odczuciu krytyka książki Gałaja, Piętaka, Pogana to... „kiczowate bohomyzy”. Ani w nich kompozycji, ani porządku nie poprowadzonej akcji. Dla Lichniaka jest źle, gdy Gałaj pokazuje chłopów roztrząsających kwestie polityczne, no bo przecież byłoby właściwiej, gdyby nadal roztrząsali tylko... gnój. Ale dla Lichniaka jest także źle, gdy Pogan poprzestaje na suchym opisie zdarzeń, no bo powinien przecież opatrzyć je politycznym komentarzem. Jak tu krytykowi dogodzić? Otóż można. Autorzy powinni zrozumieć, że powieści swoje źle pisali dlatego, ponieważ wychodzili z błędnego założenia, mianowicie — „socjologicznej koncepcji człowieka”.

Krytyk sugeruje, że dzieła ich miałyby zupełnie inny walor literacki, gdyby pisarze chłopscy starali się oddać w swoich utworach „pełnię człowieczeństwa rozumianego personalistycznie”. Na czym to ma polegać, okazałości, i to z bożej łaski. Radziłyśmy tylko wiedzieć, które to spośród narodów współczesnych są taką siłą nadziemską dźwignięte w górę? Może ks. Rostworowski odpowie na to w sposób apolityczny?

Ale autor poi się mistyczną wiarą w możliwości zniszczenia bezbożnictwa wiedzy naukowej: „ufamy też — powiada — że mi nie niebawem ewolucjonistyczna gorączka w sprawie pochodzenia ludzkiego ciała... a nad kolebką ludzkości świecić będzie nadal jak świeciło od trzydziestu kilku wieków to wspaniałe słowo najstarszej z Ksiąg natchnionych...” Dodajmy, że ideały pobożne zostały już tu i ówdzie zniszczone. Np. w Hiszpanii. Tam przyświeca narodowi wyłącznie słowo boże, objawiane przez kościół i jako szczęśliwie minęła ewolucjonistyczna gorączka.

Całość? Nil novi. Zwykłe zwyrodnienie umysłowe, po kościelnemu wynaturzonych. Ale jest druga strona tej sprawy. Tacy ludzie przecież zajmują się nauczaniem młodzieży.

L. Kołakowski

tego Lichniak nie precyzuje dokładniej w swoim końcowym artykule o powieści chłopskiej („Dziś i Jutro” Nr 26). Czytelnik chcąc sobie trochę sprawę wyjaśnić sięga po „Tygodnik Powszechny” w nadziei, że tu znajdzie jakąś ilustrację katolickiego systemu oceny literatury. W ostatnim numerze 26 natrafia właśnie na recenzję o książce Betty Macdonald „Jajko i ja”, podpisaną literami Zms. O książce wspomnianej dowiadujemy się, że jest ona „dobrze pisana”, że recenzent czytał ją z prawdziwą przyjemnością. Dzięki jakim walorom zdobyła przychylny sąd krytyka? Mówi on o niej, że jest „jedynie wesoła, beztronna opowieścią o przygodach kobiety i jej pionierskiej walce z kuchnią, praniem, prasowaniem i zapasami”. Sprawa dla nas zaczyna się wyjaśniać. Jesteśmy powoli na tropach rozumienia, na czym polega oddawanie „pełni człowieczeństwa rozumianego personalistycznie”.

M. K.

Na chwałę przyjaźni

Amerykianie mają obecnie okazję oglądania w Now Yorku bardzo ciekawej wystawy przemysłu niemieckiego. Ekspozycja wystawia 511 firm niemieckich, między nimi koncern I. G. Farben, którego fabryki miały być, jak wiadomo, zdemontowane. Ale nie tylko I. G. Farben. Także przedsiębiorstwa konfekcyjne Lodenfrey — dawny dostawca Gestapo i znana firma win szampańskich Henkel — własność Ribbentropa (obecnie jego żony). Wystawie patronują generałowie Clay, Robertson i Koenig, którzy w organie giełdy nowojorskiej — „Journal of Commerce” — poświęcili odbudowującemu się przmysłowi niemieckiemu sążniste artykuły, z których wynika jasno, jak dalece państwa anglosaskie pogwałciły uchwały poczdamskie. Dziś goszczą Amerykanie 300 przedstawicieli odbudowującego się przemysłu niemieckiego, którzy przepłynęli Atlantyk dla uczczenia przyjaźni amerykańsko-niemieckiej.



Ale nie z samych przyjaciół dawnych hitlerowców składa się naród amerykański. Przy wejściu do Rockefeller Centre, gdzie odbywa się wystawa, manifestowali i manifestują członkowie ruchu demokratycznego. „Ile dacie za abażur ze skóry ludzkiej, wykonany przez Ilżę Koch?”, „Nasi synowie nie polegli po to, by Ameryka odbudowywała Niemcy hitlerowskie” — takie napisy nieśli manifestanci. Prasa demokratyczna przypuszcza, że po wystawie przemysłu niemieckiego, zorganizuje Wall-Street wystawę zbrodni niemieckich. Rzeczywiście, z dotychczasowej polityki amerykańskich kapitalistów — tak by wynikało.

D. P.

Rzekome niezangażowanie

Ponieważ szereg polskich pism katolickich wspominało częstokroć z nietajonym zachwytem o „La vie intellectuelle”, sięgnąłem do tego periodyku, szukając źródeł natchnienia naszych rodzimych religiantów. Przyznaję, zajmowałem się głównie artykułami politycznymi, ale nie żałuję tego. Były bardzo pouczające. Otóż w numerze czerwcowym owego miesięcznika niejaki pan Viatte zajmuje się sytuacją w Chinach. Robi to „obiektywnie”, broń Boże nie entuzjazmuje się planem Marshalla, nie podziwia osobowości Dean Achesona. Stoł na stanowisku trzeciej siły. Ani komunizm, ani kapitalizm. Ale ta żonglerka nie wychodzi. Publicysta traci pod koniec swe rzekome niezangażowanie. Widzi w zwycięstwach chińskiej armii ludowej groźbę „dla wolności całego świata”. Czyżej wolności p. Viatte? Całego świata? A czy nie przypadkiem szczupłych grup wielkich kapitalistów. Im tylko gwarantował wolność uciemiężony proletariat chiński, ugniatany przez władzę Czang-Kai-Szeka.

A. M.

Przyszła kryzys...

27 czerwca Federalny Zarząd Rezerw podał do wiadomości, że poziom produkcji przemysłowej w Ameryce uległ w ciągu maja obniżeniu o 5 punktów, w porównaniu zaś z rokiem ubiegłym o 21 punktów. Na najbliższą przyszłość Federalny Zarząd Rezerw przewiduje dalszą obniżkę produkcji.

„Journal of Commerce” charakteryzuje obecny stan przemysłu ciężkiego (przed

wszystkim stalowego) jako „jeden z najbardziej gwałtownych upadków w historii przemysłu stalowego, który już od dawna znany jest — gwałtownych wahań popytu i podaży”.



Równolegle powiększa się liczba bezrobotnych i liczba bankructw. Spółka „Duntfand Bredstreet” donosi, że w ciągu pięciu miesięcy br. zbankrutowały w Ameryce 3.753 firmy w porównaniu z 2.080 w odpowiednim okresie roku ubiegłego.

Wiadomości te nie wymagają komentarza. Są niedwuznacznym dowodem zbliżającego się kryzysu gospodarczego.

R. G.

Jest tyle do zrobienia

Urodziłam się 5.II 1922 r. we wsi Godzianów. Siedmiooddziałową szkołę powszechną skończyłam w tutejszej wsi. Chociaż byłam zdolna i chętna do nauki, uczyć się dalej nie mogłam, gdyż ojciec mój był tylko kowalem i z trudem zarabiał na utrzymanie rodziny składającej się z pięciu osób. Toteż zamiast do szkoły, poszłam na służbę. Mając szesnaście lat wyszłam za mąż za biednego chłopaka z sąsiedniej wsi. Do roku 1946 mieszkaliśmy z rodzicami. W tym roku postawiliśmy sobie dom, w którym nareszcie po ludzku mieszkamy. Ziemi nie mamy. Mąż dostał pracę w Gminnej Spółdzielni Samopomoc Chłopska w Godzianowie, zarabiając 9.200 zł miesięcznie (do otrzymania tej pracy dopomógł mu artykuł koł. Mogłi zamieszczony w czasopiśmie „Wieść”). Dzieci mamy dwoje.

Bardzo często zastanawiam się nad tym, dlaczego jedni ludzie mają wszystko, a drudzy muszą się napracować i końca z końcem nie mogą związać. Dlaczego bogaty jest zawsze mądry a biedny głupi i wyśmiewany? Pytań tych byłoby bardzo dużo. Chcąc dać sobie na nie odpowiedź postanowiłam się uczyć, chociaż w moich warunkach nie jest to łatwe. Mimo wszystko nauka idzie mi jakoś naprzód. Uczę się korespondencyjnie. Gdy czasem nie mogę czegoś zrozumieć, to zwracam się do profesorów lub uczniów tutejszego gimnazjum, a oni mi chętnie udzielają pomocy. Po zdobyciu wiedzy pragnę wziąć czynny udział w pracach społecznych, od których u nas we wsi kobiety są odsunięte. Uważam, że i kobiety winny na równi z mężczyznami wziąć swoje sprawy w swoje ręce. Jakże dużo jest na tym polu do zrobienia! Gdy się na wsi dowiedzieli, że ja się uczę — podśmiewali się ze mnie. Lecz ja się nie boję złośliwych przycinków, ani głupich uśmiezków i wprawdzie wolno lecz twardo stawiam kroki naprzód. Nie chcę być głupsza od moich dzieci, które też muszą się uczyć, aby wyjść na światłych obywateli.

Zofia Maratowa

Godzianów, woj. łódzkie

Causus Forestal

Przed niedawnym czasem, jak wiadomo, zwariował w Stanach Zjednoczonych minister wojny — Forestal. Przyczyną szaleństwa była mania wojenna: Forestalowi zdawało się, że wojska radzieckie wkroczyły na terytorium Ameryki. Niewinne auto strażackie zamieniło się w jego umyśle w czołg radziecki.



Causus Forestala znajduje coraz więcej naśladowców.

Otóż Agencja United Press podaje wiadomość o nowym przypadku pomieszczenia zmysłów. Senator Wyley w Stanie Wisconsin zażądał patrolowania lądowych, morskich i powietrznych granic USA w celu uniknięcia penetracji, jak oświadczył — „radzieckich agentów uzbrojonych w broń biologiczną i atomową”.

Te wiadomości celowo szerzy prasa amerykańska. W tym oczywiście celu, by otumanić naród amerykański. A Amerykanie — jak wykazują protesty przeciw polityce paktu atlantyckiego i licznych postępowych organizacji amerykańskich — coraz mniej wiary dają oświadczeniom swej prasy.

Tymczasem zaś psychoza wojny zatrąwa samych podżegaczy wojennych. Causus Forestal powtarza się.

M. N.

Sprostowanie

W poprzednim (28) nrze tygod. „Wieść” na str. 12, w nocie zatytułowanej „Podwójny doktor honoris causa” był błąd zecercki; zarówno w tytule jak w treści winno być: honoris causa.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL.

Redaguje Komitet.

Adres Redakcji i Administracji: Łódź, ul. Piotrkowska Nr 133, telefon 100-98

Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOSKIEJ.

REDAKCJA REKOPISÓW NIE ZWRACA

Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, Piotrkowska 133 telefon 100-98

Warunki prenumeraty:

miesięcznie 80.— zł; kwartalnie 240.— zł; półrocznie 480.— zł; rocznie 960.— zł.

Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO ŁÓDŹ VII—1080

Drukarnia Nr 4 Sp. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik” — Łódź ul. Zwirki 2

D-04404